AS



Nr. 30
26 LIPCA 1936 ROKU
CENA 40 GROSZY

W TAKT TANGA...

Znana para tancerzy: Yvonne Galé i I. Anton.

Fot. Willinger.

CIEKAWE WIADOMOŚCI

Pochodzenie biletów wizytowych.

Już w czasach starożytnej cywilizacji, posługiwano się w Chinach biletami wizytowemi. Był to zwyczajny arkusz papieru, złożony we dwoje, różnego kształtu i koloru, zależnie od stanowiska, jakie zajmował jego właściciel. Prócz imienia i nazwiska, bilet zawierał zwykłą formułkę grzecznościową.

We Francji bilety wizytowe pojawiły się za panowania Ludwika XIV-go.

Gdy nie zastawano w domu osoby, którą chciało się odwiedzić, zwyczaj wymagał zapisywania imienia i nazwiska na rejestrze u portjera, lub odźwiernego. Czasem, chcąc uwolnić się z uciążliwego obowiązku składania osobiście wizyt, posyłano zwykłą kartę od gry, z wypisanem imieniem i nazwiskiem; często taką kartę, zwiniętą w rurkę, wkładano do otworu w zamku.

Wspomina o tym zwyczaju pewna sztuka wierszowana pod tytułem „Niewygody Noworoczne". Na karcie pisało się nazwisko, aby „złożyć wizytę otworowi w zamku".

Za czasów Regencji rozpowszechniła się moda drukowania imienia i nazwiska na kartach specjalnie do tego przygotowanych. Sztuka 18 wieku znalazła swe zastosowanie i w biletach wizytowych. Pojawiają się bilety ilustrowane, na pięknym papierze, zdobne w herby i wymyślne desenie. Każdy starał się tym sposobem uczynić zadość swej próżności.

Burżuazja zaczęła drukować swe nazwiska na pięknym papierze holenderskim. W 1750 roku darzono się wzajemnie komplementami zapomocą biletów wizytowych, doręczanych przez lokai. W 1760 roku pisane i drukowane bilety stanowiły oddzielny przemysł.

W 1773 r. p. Chamouset zorganizował całą służbę posłańców, którzy mieli specjalny strój i szpadę u boku. Później bilety były malowane przez takich sławnych artystów-malarzy, jak Karola Cochin, Michała Morelle, Jana Fragonarda i innych. Rysunki te i ornamentacje przedstawiały najczęściej kwiaty i symbole, stosownie do zajmowanego stanowiska i upodobania. Franciszek Casanova (1730—1805) umieszczał na swych biletach wizytowych wizerunek osła ze złożonym sztandarem, na którym wypisane było: „Casanova". Na biletach Adama Bartscha (1757—1820), kustosza muzeum szkiców w Wiedniu, występuje pies, pod nazwiskiem Bartscha i życzenia noworoczne. Jednocześnie z temi ekscentrycznemi biletami używano, jako biletów, zwykłych kart do gry.

W 1789 roku zmieniają się czasy, rewolucja francuska staje przed drzwiami — następuje również zmiana w biletach: przybierają one charakter „republikański". Augustin de St. Aubin, nim został grawerem biblioteki narodowej, trudnił się upiększaniem biletów liśćmi laurowemi. Za panowania Napoleona bilety wizytowe cieszą się ogromnem powodzeniem, a orzeł cesarski rozpościera na nich zwycięsko swe skrzydła. Za czasów Restauracji moda wymaga, aby bilety miały brzegi karbowane. Potem pojawiają się bilety glansowane.

W 1835 r. pewien właściciel składu papieru wynalazł nowy model biletu, obramowanego papierową koronką; pośrodku znajdował się piękny rysunek akwarelowy, wraz z imieniem i nazwiskiem; moda ta jednak trwała krótko; powrócono do zwykłych biletów, używanych po dziś dzień.

M. S. S.

Następcy Banting'a w walce z cukrzycą.

Na drodze do zwycięstwa nad śmiercionośną chorobą trapiącą ludzkość od lat — cukrzycą — uczyniono nowy krok, który przyczyni się prawdopodobnie do ostatecznego jej zwalczenia.

Po doniosłem odkryciu, jakiego dokonał w roku 1922 Kanadyjczyk Fred Banting wraz ze swym asystentem Ch. Best'em w związku z działalnością trzustki i wynalezieniem skutecznego lekarstwa na cukrzycę — insuliny — L. R. Dragstedt, J. Prohaska i H. P. Marms z Chicago odkryli nowy hormon, który nazwano „lipocaic". Hormon ten nie został jeszcze zbadany klinicznie, w każdym jednak razie będzie on uzupełnieniem insuliny.

Tak, jak insulina reguluje zużycie cukru w organiźmie, tak lipocaic reguluje zużycie tłuszczu. Podczas przeprowadzonych doświadczeń przekonano się, że jeżeli usunie się psu trzustkę i następnie będzie mu się udzielać odpowiednich dawek insuliny — zwierzę żyć może do trzech miesięcy. Jeżeli natomiast obok insuliny podawać się będzie zoperowanemu psu lipocaic, to pomimo braku wyciętej trzustki organy wewnętrzne pozostają niezmienione i zwierzę może żyć bardzo długo, osiągając swój wiek normalny.

Laka chińska groźnem niebezpieczeństwem dla białej rasy.

Już dawno znanym był fakt, że laka chińska albo japońska używana w przemyśle do pewnych celów, powodowała u białych robotników różne objawy chorobowe. Dlatego też zakłady przemysłowe posługujące się tym preparatem używały robotników rasy żółtej.

Laka chińska jest to sok drzew zwanych sumak, rosnących w Chinach, Indochinach, Japonji i na Formozie. Ciekawem jest, że laka nie powoduje żadnych zaburzeń chorobowych u Chińczyków, Japończyków, Anamitów i Murzynów. Stwierdzono również, że bruneci trudniej ulegają działaniu trującemu laki. Objawy chorobowe, wywołane laką w zetknięciu z ciałem są następujące: wysypka, łuszczenie się skóry, często obrzęk całego ciała, podwyższona temperatura, ucisk w głowie i ogólne osłabienie.

W Warszawie, w fabrykach śmigieł samolotowych, które jak wiadomo pokrywane są najpierw mieszaniną farby ziemnej, pochodzenia chińskiego, a potem jeszcze raz czystą laką — zanotowano również wypadki zatrucia, wskutek czego zatrudniono w zakładach lakierników rasy żółtej, którzy wykańczają śmigła samolotowe.

Wielu ludzi zostało otrutych gazami podczas wojny?

Podczas wojny światowej wszystkie państwa wojujące wyprodukowały 150.000 tonn różnych gazów trujących. W tej liczbie wytworzono 13.000 tonn iperytu, 40.000 tonn fosgenu, około 20.000 tonn dwufosgenu i 50.000 tonn ciepłego chloru.

Broń chemiczna podczas wojny światowej zabiła około 10 procent ogólnej ilości poległych w tym czasie żołnierzy. Anglicy utracili 180.000 ludzi, wskutek działania artyleryjskich pocisków chemicznych, Francuzi 180.000 ludzi, Niemcy około 80.000 żołnierzy.

Począwszy od dnia 22 kwietnia 1915 r., w którym to dniu Niemcy po raz pierwszy użyli podczas ataku gazowego chloru, — aż do ukończenia wojny gaz zabił około miljona ludzi walczących.

Johannesburg pozostanie nadal złotą stolicą świata.

W Transwaalu w Witwatersrandzie — dowiercono się nowych, obfitych złóż złota. Pokłady te znajdują się na głębokości 3.400 m., a więc o 800 m. niżej od dotychczasowych najgłębszych szybów. Obecnie rozpatrywane są możliwości eksploatacji złotych żył, która ze względu na olbrzymią głębokość wydaje się bardzo trudna.

Johannesburg był swój oparł wyłącznie na złożach złotych, które znajdowały się w jego okolicy. Miasto to wraz z pobliskiemi osadami liczy około pół miljona ludności i ostatnio było poważnie zagrożone faktem, iż istniejące pokłady złota są na wyczerpaniu. Johannesburg od bardzo długiego już czasu dostarcza światu połowy złota produkowanego na całym globie ziemskim.

Wartość odkrytych ostatnio żył złota szacują znawcy na miljardy. Johannesburg przeżywa obecnie emocję, oczekując na decyzję ekspertów odnośnie do eksploatacji nowych złóż.

Telefon staruszkiem 75-letnim.

W roku bieżącym mija „podobno" 75 lat od wynalezienia telefonu. Miał go dokonać w roku 1861 Filip Reiss, żyd niemiecki z Friedrichsdorfu, pod Taunusem. Piszemy podobno, gdyż istnieją odnośnie do historji wynalazku telefonu rozbieżne zdania. Niemcy uważają Filipa Reissa za wynalazcę, Amerykanie natomiast przypisują ten wynalazek Grahamowi Bellowi, i Elischa Grayowi, Francuzi znowu Boursellowi, a Włosi powiadają, że Moucci wynalazł telefon. Tak to bywa z najważniejszemi wynalazkami, że różni ludzie sobie przypisują ich autorstwo. Ale już w 1000 lat po narodzeniu Chrystusa poznali Chińczycy sposób przenoszenia głosu na odległość zapomocą nitek łączących części aparatury, służących do mówienia i słuchania, zbudowanych z rurek bambusowych. Właściwie można także i tube uważać za początek telefonu. Próbowano dawniej przenosić głos zapomocą połączonych ze sobą prętów drewnianych lub żelaznych. W połowie ub. wieku pojawiła się na jarmarkach zabawka, składająca się jakgdyby z kubków, o dnach elastycznych, połączonych z sobą, które służyły do rozmawiania na odległość. Nie ulega wątpliwości jednak, że wynalazek telefonu w jego dzisiejszej postaci jest dziełem wielu twórców. Wprawdzie fizyk angielski Thompson oświadczył jeszcze w r. 1883, że Reiss jest właściwym wynalazcą, niemniej jednak nawet Niemcy przyznają, że Amerykanin Bell nadał telefonowi ową klasyczną i do dnia dzisiejszego zachowaną postać. Podczas gdy Reiss w nadajniku wzorował się na modelu ucha ludzkiego i w telefonie jego muszla odpowiadająca małżowinie usznej chwytała fale głosowe, które poprzez elastyczną błonę zwierzęcego pęcherza oddziaływały na membranę metalową, połączoną z obwodem elektrycznym, to do budowy odbiornika, czyli przyrządu do słuchania, zastosował zasadę całkiem inną tzw. tonów galwanicznych. Okazało się to zupełnie błędne. Nic dziwnego, że ten prymitywny telefon nie nadawał się zbyt dobrze do przenoszenia głosów. Początkowo używano go do transmisyj muzycznych, oczywiście bardzo zniekształconych. Z telefonu Reissa wydobywały się tony, przypominające trąbkę dziecinną. Pierwszą wzmiankę o aparacie wynalezionym przez Reissa znajdujemy w pewnem niemieckiem „familienblacie", który szczególnie ujął się za wynalazcą. Naogół bowiem biedak Reiss nie miał zbytniego powodzenia: uważano go, jak się to nieraz zdarza, za maniaka. A jednak w roku 1863 zademonstrował już pewnemu towarzystwu fizycznemu, że zapomocą jego aparatu można przenosić głos z domu zupełnie zamkniętego na odległość 100 m. Chociaż myśl Reissa była niewątpliwie słuszna, to jednak techniczne zrealizowanie jego pomysłu pozostawiało jeszcze dużo do życzenia i wynalazek ten okazał się na owe czasy przedwczesny. Reiss umarł stosunkowo bardzo młodo, bo w 40 roku życia, w 1874 r., nie osiągnąwszy żadnych korzyści materjalnych ze swego wynalazku. Wynalazek ten stał się dopiero wtedy doniosłym, gdy Amerykanin Bell, o którym niewiadomo, czy znał wyniki prac Reissa, nadał telefonowi nową postać i oparł budowę jego na znacznie ulepszonych podstawach. Dzisiaj, gdy wynalazek ten jest rozpowszechniony na całym świecie, gdy można telefonicznie rozmawiać z inną częścią świata, warto pomyśleć choćby przez chwilę o pierwszych skromnych początkach tego genjalnego wynalazku. Było to przecież 75 lat temu. Tak niedawno, a jeśli kto woli, już tak dawno temu...

A.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 30 **Niedziela 26 lipca 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 30-GO:

Fot. Hoffmann Studios — Detroit,

Nieoczekiwana śmierć jednego z najlepszych synów Polski gen. Gustawa Orlicz-Dreszera pogrążyła całe społeczeństwo w głębokiej żałobie. Ś. p. gen. Dreszer całem swojem życiem wykazał niepospolite zalety zarówno serca, jak i umysłu, On przecież był najpierwszym i najenergiczniejszym rzecznikiem mocarstwowości Polski na morzu, On też stał się dzięki zrozumieniu roli naszej emigracji w Stanach Zjednoczonych żywym łącznikiem między Macierzą a rozrzuconemi po szerokim świecie Jej dziećmi. Zmarły budził u rodaków przy każdej okazji zrozumienie dla spraw morskich, zarówno jako prezes Ligi Morskiej i Kolonjalnej, jak też jako publicysta i niestrudzony organizator. Zdjęcie nasze przedstawia gen. Dreszera podczas jego pobytu w Stanach Zjednoczonych w r. 1931, w otoczeniu wybitnych obywateli miasta Detroit. Od lewej: H. H. Emmons, przew. Komit. przyjęcia ś p. Zmarłego, gen. Orlicz-Dreszer, konsul R P. Byszewski, oraz przedstawiciele miejscowych polskich organizacyj Z. Mioskowski i komis. L. Wolff.

DR. WŁ. J. DOBROWOLSKI

dziecko ZA KULISAMI

Na prawo: Marjonetka, skomponowana i wykonana przez Schregera, chłopca 15-letniego w Rheingauschule, Berlin.



Poniżej: Kurtyna skomponowana i wykonana aplikacją przez dziewczęta w wieku 13—16 lat w londyńskiej szkole.



Poniżej: Figurki marjonetkowe, wykonane według własnych pomysłów przez dzieci szwajcarskie w wieku 11—12 lat.







Na lewo: Scena ze sztuki „W daleką drogę", granej w teatrze tyflliskim wyłącznie przez dzieci. — Reżyserował Szakaszwili.

Wspomnienia z dzieciństwa, prawie u wszystkich ludzi, łączą się z jakiemiś chwilami z owoczesnego okresu ich życia, kiedy przedstawiali lub „udawali", „coś" lub „kogoś". Zwyczajnie nazywa się to dziecinną zabawą, o której nieraz „rozsądni" dorośli wyrażają się z pogardą. Zabawy dziecinne, nie są jednak lekceważone przez naukę, już Fryderyk Schiller i inni romantycy podkreślali ich wartość i znaczenie ogólno-rozwojowe. Dzisiejsza nauka wyróżniła pośród zabaw dziecięcych kilka działów zależnie od spełnianych zadań. Początki „zabawy" spotykamy nawet u dzieci ośmiomiesięcznych, w dalszym rozwoju wzbogacają się one w treść i różnicują. Prof. Szuman rozróżnia cztery zasadnicze działy zabaw dziecka: 1) funkcjonalne, 2) poznawcze w stosunku do przedmiotów, 3) konstruktywne, 4) złudzeniowe. Pierwotnie bawi się dziecko nieraz własnem ciałem poznając swoje możliwości ruchowe w stosunku do tego ciała i otaczającego go świata. Później przez wyższy stopień zabawy poznaje właściwości poszczególnych przedmiotów, czy są twarde lub miękkie, szorstkie lub gładkie. W następnem stadjum zaczyna dziecko dobierać przedmioty wedle pewnych „upodobań", i układać je wedle pewnych planów stosownie do każdorazowego pomysłu lub kierunku zainteresowań, zależnych od coraz bogatszej treści. Treść ta narasta w miarę wzrostu zakresu wyobraźni, która objawia się najlepiej w opowiastkach i bajkach dziecięcych. Tak obok rzeczywiście istniejących przedmiotów i rzeczy, istnieją w umyśle dziecka przedmioty, osoby i wydarzenia fikcyjne „wymyślne", będące dla dziecka równie rzeczywiste. Lew, słoń lub legendarny smok z bajki mogą być nieraz daleko więcej interesujące dla młodocianych wyobraźni, niż najbardziej realne psy, konie, koty i t. d.

Mniej więcej do 8-go roku życia, dopokąd świat t. zw. „naiwnej wyobraźni" dominuje w młodocianym umyśle, każde niemal dziecko ma zdolność bezpośredniego wyrażenia w geście, słowie, rysunku lub malowance, swych wewnętrznych stanów duchowych. Jest w pewnym sensie doskonałym i nieomylnym artystą. Później w miarę rozwoju władzy rozsądku i woli giną te samorodne zdolności, ustępujące nowym odpowiednim do rozwoju cechom.

W pewnej więc chwili zabaw dziecinnych rodzi się oczywiście zupełnie nieświadomie sztuka teatralna w dziecięcej psychice i objawia się w pozornych naśladownictwach różnych osób rzeczywistych lub fikcyjnych i nawet samego siebie. Czasem dziecko wyobraża sobie również, że jest jakiemś zwierzęciem, rośliną i t. d. U dzieci jest wszystko bowiem w pewnym sensie żyjące i „uduchowione". Tym stosunkiem do świata zbliża się człowiek w tych pierwszych okresach swego rozwoju do światopoglądu i doznawań ludów pierwotnych. Stąd niektóre teorje o podobieństwie między rozwojem poszczególnego człowieka, a rozwojem całej ludzkości (Stanley Hall, Dewey, Ferrière i inni). Teorja ta, jakkolwiek niemożliwa do udowodnienia, kryje w sobie wiele cennych i ułatwiających wyjaśnienie niejednego zjawiska czynników.

Dziecko trzy lub czteroletnie bywa już twórcą „zdarzeń dramatycznych", a więc pewnych najprostszych form teatralnych. Trudno jednak bardzo rozgraniczać zjawiska zabawy od zjawisk sztuki. A jednak granica pomiędzy niemi istnieje i istnieć musi. Sztuka wyzwala w człowieku pewne przejawy jego życia wewnętrznego, które są dalekie od praktycznego, w swych bezpośrednich skutkach, celu zabaw dziecięcych. Sztuka jest z natury swej jakby „niepraktyczna", jakby zbędna z punktu widzenia ekonomji zarówno czasu jak i wkładanej w nią energji. Sztukę cechują pewne formy, któremi uzewnętrznia się w otaczającym nas świecie. Dziecko mo-

że igrać ,bawić się własnemi myślami. Sztuka istnieje tylko w formie społecznej, w formie dostrzegalnej wzrokiem lub słuchem Zjawiska więc artystyczne cechuje t. zw. ich wyraz. Kiedy dziecko w wyobraźni swej zostaje tą lub ową osobą lub rzeczą, wyraża się zapomocą odpowiedniej mimiki, gestów, głosu a częstokroć przebierania się w owe postacie. Dziecko wierzy w tych pierwszych latach swego rozwoju niezłomnie, że jest tą wyobrażaną przez siebie postacią. Np. jeśli dziecko wyobrazi sobie, że jest psem lub kotem, nie wyprowadzi go z tego mniemania żadna perswazja dorosłych, a choćby pokazanie danego psa lub kota. W umyśle małego dziecka nie istnieją sprzeczności, pozostają one spokojnie obok siebie.

Ta wiara niezłomna w wyrażane przez siebie istoty pozwala dziecku na tę pełnię wyrazu stanów wewnętrznych na jaką nie może zdobyć się nawet najświetniejszy artysta teatru dla ludzi dorosłych. Sama już czynność przebierania się sugeruje do tego stopnia dzieci, że momentalnie mogą oddać się „przedstawieniu" osnutych na nasuwającej się treści wydarzeń. Wychowawca lub nauczyciel w przedszkolu skoro tylko dzieciom poda projekt przebierania się za to lub owo, daje zawsze wystarczającą pobudkę do parogodzinnych nieraz „zabaw", a właściwie wydarzeń teatralnych. Drugim bodźcem tych „zabaw teatralnych" jest opowiadanie legend lub bajek, działających bardzo silnie na wyobraźnię dzieci. Przekonać się o tem mogłem na doświadczalnym kursie teatralnym w przedszkołach w Łodzi, obejmującym około 60-ciu kilku przedszkoli. dzieci pochodzących z najróżnorodniejszych ośrodków, społecznych, wyznaniowych i narodowych. Wszystkie te dzieci reagowały niesłychanie żywo na opowiadane bajki i chętnie odtwarzały na swój sposób ich treść. Jedynie u dzieci trzy lub czteroletnich treść bajki ginęła, na korzyść zabawy, polegającej na wspomnianem ćwiczeniu funkcyj.

Pobudzającym silnie czynnikiem była muzyka dobrana do treści bajki i wykonana w momencie, kiedy dzieci przystępowały do realizacji opowiadania.

W późniejszym wieku (po 8-mym roku życia) budzi się u chłopców zainteresowanie dla przygód i różnorodnych „wyczynów", które to momenty wykorzystuje świetnie harcerstwo w różnorodnych zabawach. W Paryżu istnieje już drugi czy trzeci rok specjalny teatr harcerski z odpowiednim repertuarem. U dziewczynek budzi się zainteresowanie wydarzeniami życiowemi, które odzwierciadlą się w zabawach lalkami lub między sobą. Obie płcie charakteryzuje pociąg do różnorodnych robót ręcznych i kolekcjonarstwa. Skłonności te znajdują artystyczne ujście między innemi w teatrze kukiełkowym gdzie najprostszemi środkami mogą odtwarzać najfantastyczniejsze przygody. Teatr kukiełek rozwija sęi najżywiej wśród młodzieży czeskiej i słowackiej, dalej angielskiej, amerykańskiej, sowieckiej i wreszcie u dawno z tą tradycją związanych Włochów (zwłaszcza Sycylja i Neapol) oraz Greków.

Inną odmianą teatru jest również teatr ludzi dorosłych dostosowany do światopoglądów i wyobrażeń najmłodszego pokolenia. Najlepiej spełnia tu rolę teatr Marjonetek znany w Polsce „Teatro dei Piccoli", nasza polska szopka, lub mniej u nas rozpowszechniony gatunek lalek nakładanych na palce zwanych po francusku „guignol" a u nas świeżo nazwany „bi-ba-bo". Czasem spełni świetnie rolę wychowawczą (dla dzieci starszych) zwyczajne przedstawienie dorosłych z klasycznego repertuaru, jak „Sen nocy letniej", „Balladyna" itd. Wszelkie obawy o niestosowność tych tematów, może usunąć nieco lepsze zapoznanie się z duszą dziecięcą, w jej bogactwie i zróżnicowanej skali przeżyciowej.

Na prawo: Oto aplikacja 7-letniej Judyty Horne z londyńskiej szkoły Croham Hurst School, przedstawiająca fragment sztuki scenicznej.



Ilustracje z dzieła „Crafts for Children" — R. R. Tomlinson.

Na prawo: Dzieci w wieku 14 lat przy manipulowaniu lalkami w teatrze marjonetek.



Poniżej: Teatr marjonetek zaprojektowany, wykonany i „manipulowany" przez dzieci angielskie. Dekorację stworzył 13-letni chłopak.





Sztukę „Malarz" odegrały w teatrze „Młodocianej widowni" w Tyflisie dzieci do lat 18-tu. Reżyserował Czemidze.

W POZNAŃSKIEJ PALMIARNI

Powyżej: Fragment palmiarni poznańskiej w parku Wilsona. W dziale roślin tropikalnych zwracają uwagę olbrzymie Victoria Regia.

Wlewem skrzydle wspaniałej palmiarni poznańskiej na tle bujnej podzwrotnikowej roślinności ustawiono ostatnio akwarja, zawierające eksponaty tegorocznej wystawy akwarjowej. Wystawa ta to nie przegląd ryb ozdobnych, jak to miało miejsce w latach ubiegłych. To poprostu pokaz fauny morskiej i śródlądowej, pokaz o charakterze dydaktycznym. Cel wystawy sprawił, że widz nie znajdzie w akwarjach pięknych, o długich jedwabistych ogonach welonek ,ale na ich miejscu zobaczy pospolitego okonia, lina, węgorza czy nawet suma. Pozna ryby, które często zna tylko ze spisu potraw w lokalach restauracyjnych.

Ale nie te ryby są najciekawszemi eksponatami na wystawie. Poznać tu można liczne okazy fauny nietylko naszych wód śródlądowych, zresztą często także nieznanych, ale też stworzenia morskie niedostępne dla oka zwykłego śmiertelnika.

Chociażby taka zdawałoby się pospolita flondra, zwana przez przyrodników „języczkiem morskiem"! Płaska, mała, istotnie podobna do języczka, flondra ta leży spokojnie na żwirze w akwarjum. Bardzo trudna do rozeznania, bo korzystając z prawa przystosowania swej barwy do otoczenia (prawo mimikry), podobnie jak wszystkie ryby z rodzaju flonder, przyjęła kolor szary nakrapiany ciemniejszemi punkcikami, podobny do piasku na którym spoczywa. W tem samem akwarjum z fauną morza północnego znajdują się korale jednostkowe, ukwijały, zwane także kwiatami morskiemi, jeżowce i rozgwiazdy.

W pobliskim basenie, z nierównego dna wyrastają ponad powierzchnię wody — niebieskie, a jakże znane kwiatki. To nasze przemiłe niezapominajki wyłaniające się tu z wody to dowód dla wielu miłośników akspolita. To akwarjum półlądowe dostosowane dla zwierząt żyjących częściowo na ziemi, częściowo w wodzie. Nadaje się dla hodowli piskorzy, kiełbików, ślimaków wodnych no i żab! Niezapominajki i trzcina wyrastające z wodyto dowód dla wielu miłośników akwarjów, że jednostajność wody w akwarjach urozmaicić można nietylko roślinami egzotycznemi. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiono liczne słoje, w których wodnym roślinom egzotycznym przeciwstawiono te same rośliny naszych wód. Jest ich więcej anizeli egzotycznych i są łatwiejsze do zdobycia.



Na prawo: Ciek[illegible] okaz ośmiornicy w akwarjum, obejmującem faunę i florę Adrjatyku.

Najciekawszym eksponatem na tej wystawie to akwarjum z fauną Adrjatyku. Obok gąbki znajdujemy w niem kilka okazów raków, wśród których jest jeden okaz, odmienny od naszych jadalnych. Jest dłuższy i pozbawiony nożyc przez co staje się podobny do szarańczy. Stąd jego nazwa „rak szarańczowy". Jest on jadalny. ale niebezpieczny w łowieniu przez swą truciznę, w jaką wyposażyła go natura. Środek tego akwarjum zajmuje dość dużych rozmiarów ośmiornica (octapus vulgaris), w pobliżu której znajdują się dwa okazy płaszczka, czyli raji zwanej także torpedą morską (torpedo marmorata). Raje na wystawie poznańskiej są mniejszych rozmiarów, większe dochodzące do wagi 200 kg. żyją tylko w Oceanie Atlantyckiem. Są to ryby o spłaszczonych poziomo, nie pionowo jak flondra, tułowiach, posiadających liczne silnie unerwione i zdolne do elektryzacji płytki, używane do walki z wrogiem. Niektórzy badacze życia tych ryb dowodzą, że nagromadzonej w płytkach elektryczności używają raje jedynie tylko w chwili niebezpieczeństwa, inni, że dzięki tej właściwości płoszą one zagrzebane w mule ryby, które następnie uśmiercają uderzeniem długiego, cienkiego i ostrego ogona. Okazy tego akwarjum przywiezione zostały przez prof. U. P. dr. Niezabitowskiego, z jego praktyki w stacjach morskich na Południu. Uzupełnieniem tego akwarjum są wystawione obok przekroje anatomiczne wszystkich zawartych eksponatów pochodzące z Zakładów Naukowych Uniwersytetu Poznańskiego.

Na wystawie nie ma akwarjum z fauną Bałtyku. Brak tego, zdawałoby się najłatwiej do urządzenia akwarjum, tłumaczy się brakiem w Bałtyku zwierząt morskich poza rybami. Te zaś są ogólnie znane, a nie dają się zamknąć w ciasnych basenach spowodu zbyt nikłej w nich ilości tlenu.



Poniżej: Część wystawy akwarjów, poświęconej faunie ryb słodkowodnych.

Wszsgtkie zdjęcia Fot. „AS".

Nie wszystkie jeziora wielkopolskie zostały już zbadane przez przyrodników w zakresie dokładnej analizy ich dna. Zadanie to w stosunku do znanego jeziora w Kiekrzu pod Poznaniem spełnił przyrodnik poznański dr. Juljan Rzóska. Jezioro kierskie jest jednem z najgłębszych w Wielkopolsce, a głębokość jego przekracza 20 mtr. Dr. Rzóska wraz z młodymi przyrodnikami Zakładu Zoologicznego U. P. sondując dno przy pomocy specjalnego przyrządu zwanego dragą, badał skrupulatnie wydobyty z dna muł. Powstał stąd dokładny obraz całego dna i jego żyjątek, które organizatorowie wystawy umieścili w osobnych słojach.

Wśród wystawionych tu przyrządów znajduje się też historyczna już draga znanego przyrodnika polskiego prof. dr. Dybowskiego, badacza dna jeziora zabajkalskiego, dokąd zesłały go władze zaborcze za jego działalność polityczną. Draga prof. Dybowskiego po zamknięciu wystawy przejdzie na własność Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie.

Uzupełnieniem całości wystawy to dział, uczący, jak budować akwarja. Tu nauczyć się można nietylko właściwego doboru materjału, czyszczenia i przewietrzania akwarjum, ale dowiedzieć się również można, jakie cenne usługi może oddać właścicielowi akwarjum zużyta dętka samochodowa, która doskonale nadaje się do czyszczenia akwarjów.

Poznań szczyci się posiadaniem największego w Polsce Ogrodu Zoologicznego, ale nie posiada w nim żadnego akwarjum, jak to ma miejsce w każdym większym ogrodzie zoologicznym zagranicą. W czasach dzisiejszych o stworzeniu takiego wielkiego akwarjum w Poznaniu trudno nawet marzyć, chociaż sprawa była już niejednokrotnie poruszana wśród przyrodników poznańskich. Ten brak zastąpić ma doraźnie wystawa akwarjów w Palmiarni poznańskiej licznie odwiedzana przedewszystkiem przez młodzież, studjującą przyrodę na Uniwersytecie Poznańskim, jak i młodzież szkół poznańskich. Mimo dużego zachodu, jaki powoduje nietylko zorganizowanie wystawy, ale również troska o utrzymanie pokazów w akwarjach — częste zmiany wody w upalne dni i chłodzenie jej przy pomocy lodu — wystawa doszła do skutku dzięki Dyrekcji Ogrodów Miejskich. Z ramienia Dyrekcji organizował ją dr. Wiesław Rakowski, kustosz Muzeum Przyrodniczego w Poznaniu i znany przyrodnik. Dyr. Ogrodów Miejskich Wład. Marciniec, który z całym entuzjazmem oddał się tej pracy, dbając o estetyczne otoczenie roślinne dla wystawy i podejmując się nawet specjalnego przesadzenia niektórych roślin w Palmiarni, w celu zyskania miejsca pod baseny.

Wystawę akwarjów zwiedzać można bez przewodnika, ale wówczas zadowolić się trzeba tylko satysfakcją wzrokową. Kto jednak chce również poznać tajemnice niektórych zjawisk przyrody morskiej, ten korzystać będzie z objaśnień młodego przyrodnika Witolda Alkiewicza. Spełnia on swe zadanie bezinteresownie i z wielką uprzejmością.

Wysiłek tych kilku ludzi stworzył wystawę wprawdzie liczebnie niewielką, ale zato w doborze okazów i celowości ich rozmieszczenia wzorową.

H. S.

UŚMIECH CHIŃSKICH BOGÓW



Od lewej: Tao-Shis, bóstwo taoistycznej trójcy, oraz figurka bożka Liu-Hai, symbolizującego szczęście w handlu.

Obok sztuki poważnej, liturgicznej, rozwinął się w Chinach XV do XVIII w. osobliwy rodzaj sztuki mieszczańsko-ludowej, świadczący o wysokiej artystycznej kulturze anonimowych artystów. Obok malowideł i ilustracyj spotykamy tu dzieła plastyczne z gliny, porcelany, drzewa, trzciny bambusowej, kamieni półszlachetnych, kości słoniowej, wreszcie wyroby tekstylne. Do tego zakresu należą również małe, kamienne rzeźby, wykonywane w t. zw. steatycie, — materjale miękkim, łatwym do obróbki, a przytem kolorowo bardzo efektownym (biały, żółtawy i zielonkawy), który dla większego efektu częściowo jeszcze kolorowano.

Nie jest to sztuka ekskluzywnych, przerafinowanych sfer arystokratycznych, lecz sztuka jowialnego mieszczaństwa. Owe figurki steatytowe były dewocjonaljami, stawianemi przez poczciwych mieszczan na nieodzownych ołtarzykach domowych. Czczono je jako domowych bogów i genjuszów i przypisywano im pewne magiczne siły.

Są to postacie z ludowych legend, lub popularnych taoistycznych, względnie buddystycznych świętych. Element ludowy występuje również na jaw w sposobie przedstawiania danych postaci. Zasadnicze formy są wprawdzie zaczerpnięte ze sztuki świątynnej, dostosowane ściśle do obowiązującego kanonu artystyczno-kościelnego, lecz artyście nietyle chodzi o czysto figuralne ujęcie danego motywu, ile raczej o akcję, o wydobycie pierwiastka narracyjnego, o treść symboliczną. Oto jest Liu-Hai, bóg szczęścia wszelkich handlowych tranzakcyj. W czasie jednego ze swoich kolejnych wcieleń żyje jako młody chłopak i służy u pewnej rodziny, gdzie dokonuje różnych zdumiewających rzeczy. Pewnego dnia znajduje ropuchę o trzech nogach. Tańcząc z radości, woła: już dawno poszukiwałem czegoś podobnego! Dziś wreszcie udało mi się! — Siada na niej, wznosi się w przestworza i ginie z oczu zdumionych widzów. A legenda kończy następującym morałem: „Powiadają, że tylko młodzi posiadają tyle siły i odwagi, by opanować szczęście, które jest chwiejnem jak chód trójnożnej ropuchy".

To, co sztukę tę czyni nam bliską i zrozumiałą — mimo jej obcej — nam ludziom zachodu — symboliki, to wspaniały realizm, w którym tu każdorazowo uchwycono życie i sprowadzono do jasnej, przystępnej formułki. Wszyscy ci bogowie i święci, to typy pogodnej, pospolitej, jowjalnej codzienności mieszczańskiej, lub chłopskiej. Zakonnicy dobroduszni, nie przekonywujący asceci, mędrcy na codzień, chytrzy żebracy, pogodni opoje. O świetnym i subtelnym zmyśle obserwacyjnym owych nikomu nieznanych artystów, dają pewne pojęcie załączone ilustracje.

Oto wyswabadzający, niby boski, a w rzeczywistości arcyludzki śmiech chińskiego parnasu, od chytrego uśmieszku, aż do głośnej swawoli, od cynicznego śmiechu chudego ascety, aż do dobrodusznej wesołości otyłego mnicha buddystycznego. Sztuka religijna stała się tu wyrazem optymistycznego nastawiania życiowego przeciętnego Chińczyka.

M. Wiktor.



Powyżej: Lo-Han, legendarny uczeń Buddy, z różańcem w ręku w towarzystwie małpy



Humorystyczna figura mnicha żebrzącego Pu-Tai, trzymającego w ręku drapaczkę.



Suszarnia papieru i tapet.

JAK POWSTAJĄ TAPETY?

Nowoczesna prasa do drukowania tapet. to skomplikowana i olbrzymia maszyna. Jakże dawno minęły czasy, kiedy na ręcznych prasach przygotowywano pierwsze prymitywne tapety w arkuszach, odbijane w klocka.

Prasy drukarskie, które pracują dziś w fabrykach tapet — posiadają często aż 25 cylindrów, z których każdy drukuje w innym kolorze. Oczywiście prasy te są rotacyjne, a więc drukują na biegnącej taśmie papieru, a nie na pojedyńczych arkuszach.

Warto obejrzeć taką drukarnię i przyjrzeć się, jak powstaje tapeta i jak zwykły papier zmienia się stopniowo na dekorację, która w przyszłości ozdobi mieszkanie.

W atelier artysta wykonuje projekt kompozycji, która zkolei wykonana zostaje na „czysto" i w kolorach. Projekt skierowany zostaje teraz do pracowni rysowników, którzy „rozkładają" go na kolory. Praca ta polega na tem, że na poszczególnych kalkach przerysowane zostają wyłącznie rysunki w kolorze czerwonym, niebieskim i t. d. Praca ta jest bardzo żmudna i wymaga niezwykłej dokładności. Od tego bowiem zależy „pasowanie" różnych kolorów podczas późniejszego druku.

Gdy kalki już przygotowano i projekt artysty „rozłożono" — powiedzmy — na 15 kolorów (znaczy to, że odtworzenie projektu artysty wymaga 15-tu kolorów lub odcieni) — przystępują do pracy robotnicy, którzy rysunek z kalki przenoszą na walce. Istnieje dziś bardzo wiele metod tego postępowania. Jedną z najstarszych było i jest jeszcze do dziś przybijanie do drewnianego wałka, odpowiedniego kształtu metalowych części rysunku odbitego na walcu. Sposób ten jest bardzo kosztowny i zabiera wiele czasu. Dzisiejszy rozwój techniki, dostarczając coraz to innych sposobów reprodukcyjnych w tym zakresie, stworzył metody o wiele tańsze i szybsze.

Gdy już 15 cylindrów, przedstawiających składowe elementy całości właściwego rysunku, który ma być reprodukowany — przygotowano, przystępuje się do próby barw. W specjalnym oddziale miesza się farby i przygotowuje kolory i ich odcienie, których użył artysta, projektując pierwowzór tapety.

Korygowanie kolorów jest pracą długą i monotonną. Wreszcie po kilku dniach farby przygotowano i wlano do ryniencк-kałamarzy, w których maczają się wałki, smarujące cylindry. Założono już także papier i walce. Maszyna rusza.

Próbny druk ukazuje zamazany papier. Trzeba jeszcze ustawić cylindry w ten sposób, aby właściwy rysunek padał na właściwe miejsce na drukowanym papierze. — Zdawaćby się mogło, że szybkość obracających się cylindrów, może być różna, lub że ruch papieru nie zawsze jest jednostajny, i że wskutek tego nietrudno o niedokładności w druku. Tak jednak nie jest. Wszystkie cylindry i rolki, podające papier poruszają się synchronicznie — zapomocą jednego systemu kół zębatych.

Po ustawieniu cylindrów, maszyna znów rusza. Druk jest już prawie bez błędu. Jeszcze małe poprawki z ustawieniem walców i doborem kolorów — i oto dokładna kopja projektu artysty zostanie powielona miljony razy.

Biały papier rozwijając się z bębna, przewija się wzdłuż całej maszyny i przebiegając pod poszczególnemi walcami, zapełnia się stopniowo kolorowemi kwiatami, barwną plątaniną egzotycznych roślin, ptakami... Staje się coraz barwniejszy, aż wreszcie opuszcza maszynę już jako gotowa tapeta, która sunąc po rolkach zawisa w suszarni, owiewana ciepłem powietrzem.

Po godzinie, kolorowa wstęga papieru jest już sucha. Jeszcze zwijaczki układają papier w rolki i tną go na kawałki po kilkanaście metrów długości.

Nie potrzeba dodawać, że ta sama maszyna, drukująca 25-ciobarwne tapety, może być użytą także do druku jednobarwnego.

Oczywiście oprócz tapet o rysunku gładkim, wyrabia się także tapety tłoczone, gufrowane i inne. W wypadku fabrykacji tapet fakturowanych, taśma zadrukowaengo uprzednio papieru przechodzi przez inne jeszcze maszyny, które ją odpowiednio preparują.



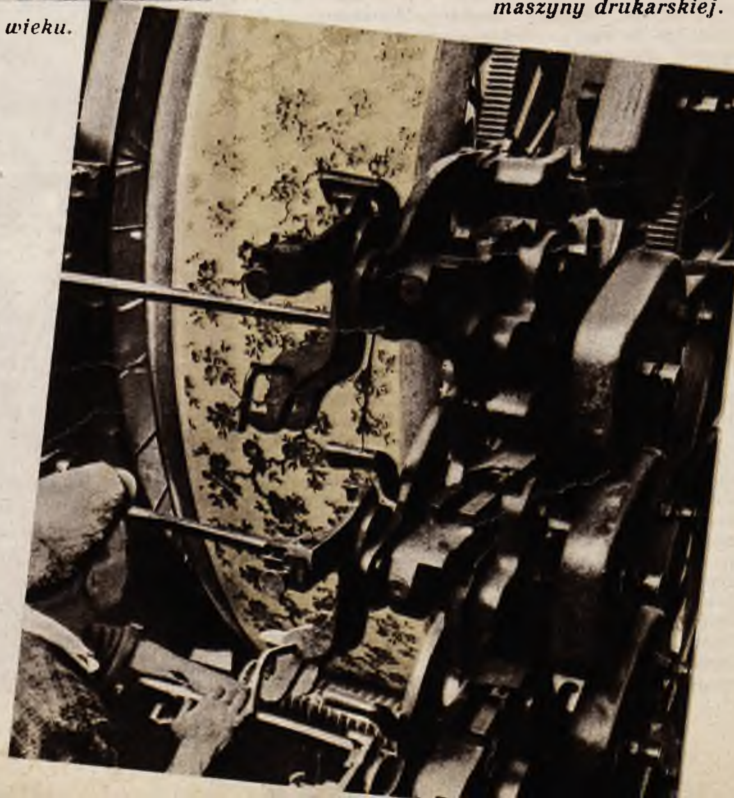
Na lewo: Specjalna maszyna drukarska wykonuje na minutę około 80 m. tapety.



Obicie papierowe z XVI wieku.

Historja tapety sięga bardzo dawnych czasów. Już w średnich wiekach używano kawałków zadrukowanego papieru do wyklejania skrzyń, kufrów itd. Zkolei te kawałki papieru drukowane wzorem czarnym, a później kolorowym, zostały przeniesione na ściany ówczesnych komnat. Poszczególne arkusze tej pierwszej tapety, odbijano z drzeworytu. Z początkiem XVI wieku, po raz pierwszy zdaje się wzory drukowane na papierze przylepiono na ścianie. Jest rzeczą znamienną, że tego rodzaju dekoracja sal i pokoi, była w owych czasach bardzo kosztowna.

(Dokończenie na str. 10-tej).



U dołu: Tapeta na walcach maszyny drukarskiej.

DWA ŚWITY

IRENA WIELGUSÓWNA

NOWELA

Erkme pochyliła się nad łodzią, która połową kadłuba utkwiła w piasku, drugą zaś połową zanurzona była w szaro zielonej wodzie jeziora.

Zdawaćby się mogło, że łódź z mozołem i potajemnie wypełznąć chciała na ląd, lecz w tej właśnie chwili zabrakło jej siły.

Leży więc ciężka i zupełnie bezwładna. Nie może iść dalej, ani zawrócić. I tak już musi pozostać.

Erkme położyła na dnie łodzi dwa białe zawiniątka, które z sobą przyniosła i oswobodzoną ręką pchnęła mokry, zczerniały dziób.

Piasek zgrzytnął, łódź osunęła się w wodę. Chybotała się chwilę niezdecydowana, dopóki Erkme wprawną ręką nie ujęła za wiosła.

Łódź popłynęła. — Na szaro zielonej — równo rozpiętej tkaninie zaczęły rysować się skazy. — Płaskie wiosła wznosiły się i opadały miarowo.

Po każdem ich uderzeniu jezioro marszczyło się w wielokształtne kresy, które rozpływały się w różne strony i nikły — zupełnie już rozprostowane, tak, jakby przy brzegach ktoś czuwał nad tem nieustannie, aby jezioro było gładkie i równo rozpięte, jak żagiel.

Erkme spojrzała na niebo. Było szare — jakby zadymione. Tylko na samym dole — tam, gdzie zwierało się z ciemnem tłem jeziora — pobłyskiwało wąziutką jaśniejszą smugą. Jakby obmyło się w wodzie.

— Da Bóg — pogoda będzie — zamruczała stara i prędzej poruszyła wiosłami.

Przez trzy dni szalała burza i nie można było wyjechać na jezioro — dopiero dzisiaj przed świtem uspokoiło się zupełnie.

Jezioro wyrównało się, rozprężyło, zastygło.

Erkme wiosłowała. Na jej starej, bruzdami pokreślonej twarzy kroplami występował pot. Głowa owiązana białą chustką kołysała się jednostajnie, potakująco. Czasami odwracała się poza siebie, aby oczyma poszukać brzegu, który bielił się mglisto i wciąż jeszcze daleko.

Dniało.

Jasna smuga u kresu jeziora podniosła się wyżej. Z pobladłego nieba sączył się świt i przejrzystą zielenią zapadał wgłąb wody. A kiedy po jeziorze rozsnuły się blaski, Erkme podniosła wyblakłe, napół oślepłe oczy ku słońcu. Jej wyschłe, starcze ręce bezwładnie osunęły się wzdłuż kolan. Wiosła znieruchomiały a łódź zatrzymała się chwiejnie, ujęta powoli w łagodne dłonie rozmadlającej się ciszy.

I z ust Litwinki padać zaczęły ciche, dziękczynne słowa: Ojcze nasz...

Do brzegu wciąż jeszcze było daleko. Erkme na nowo ujęła za wiosła. Łódź popłynęła teraz szybciej. Wiosła pospiesznie i łapczywie rozłupywały jezioro — Erkme raz wraz odwracała się poza siebie. Zaczynał ogarniać ją niepokój.

Gdy biała krawędź wybrzeża stawała się szersza i coraz więcej widoczna, niepokój jej wzrastał. Słowa modlitwy rwały się co chwila i przechodziły w cichy, zadyszany szept.

Kiedy łódź dotarła do brzegu, Erkme z trudem wyciągnęła ją na piasek i krajem chustki otarła spoconą twarz. Wzięła w ręce dwa białe zawiniątka i poszła wgórę przed siebie.

* * *

Jurgis siedział na kamieniu przed chatą i niebieskimi oczyma patrzył na jezioro, które leżało przed nim jak wielka, zielona misa, słońcem wypełniona po brzegi. Nie słyszał, kiedy Erkme podeszła całkiem blisko i z trudem odwrócił ku niej oczy.

— Pójdź do chaty — powiedziała Erkme — głodny ty być musisz. Trzy dni ja u ciebie nie była i nic jeść nie przyniosła.

Jurgis podniósł się ociężale i poszedł za nią bez słowa.

— Nie głodny ja — powiedział, kiedy Erkme w chacie rozwiązywała białe zawiniątka — uczta była to i pojadł.

— Jeździł kto do wyspy oglądać ruiny?— zapytała Erkme zdumiona i nagle rozradowana.

Stary zaprzeczył poruszeniem głowy. — Nikogo nie było — powiedział — złe było jezioro, ktoby jeździć chciał. — Nikt. Samiśmy byli — dokończył cicho i jakby z lękiem.

Erkme nie dosłyszała.

— Więc gdzie ty na uczcie był? — zapytała, nic nie rozumiejąc.

Jurgis odwrócił głowę ku oknu, przez które widać było stare, zielenią obrosłe ruiny.

— Na... zamku... z nimi — powiedział tajemniczo.

Z kim? Kiedy? Zimny, nieokreślony lęk owionął Erkme.

— W nocy. W nocy uczty bywają... — mówił stary stłumionym głosem..

— To ty w nocy do ruin chadzał? — zaniepokoiła się nagle. W tej chwili spostrzegła dopiero, że kubrak ma mokry i ręce dygocące od zimna.

— Przysłali to i poszedł! — odparł stary już niechętnie.

Erkme nie pytała o nic więcej — jakby wiedziała już wszystko. Pospiesznie rozpalała ogień. Wilgotne drzewo skwierczało — roztopiona żywica spływała po niem leniwie, cienkiemi pasmami, a potem wybuchała nagle żółtym, krótkim płomieniem. Jurgis siedział nieruchomo pod ścianą i patrzył w okno.

Erkme podała mu śniadanie, które zjadł w milczeniu, a potem zaprowadziła go ku wybrzeżu. Ogromne słońce było już wysoko i zwisało ciężko nad wyspą i jeziorem. Jurgis położył się na gorącym piasku, Erkme podsunęła mu pod głowę zwiniętą chustkę, którą zdjęła z ramion i usiadła obok.

Rękami oplotła kolana i drżącym melodyjnym głosem mówiła mu o tem, jak przez trzy dni daremnie chodziła nad jezioro. Złe było i falami ciskało o brzegi. Z miasteczka nikt jechać nie chciał, choć o to prosiła. Mówili, że śmierć pewna i zgubna. Czekać kazali aż burze miną. I doczekała się. Zabrała, co w chacie było i jemu przywiozła. Wyszła z domu nim świtać zaczęło a ciągle myślała, że głodny bardzo — i czy nie chory. I że smutno samemu.

Stary rękami oczy zakrył przed słońcem i słuchał w milczeniu. A może drzemał.

— Mały pisał — przypomniała sobie nagle. — Pieniędzy chciał, to mu posłała, co mogła. Tak ładnie prosił: przyślijcie babko, bo jak jeść niema co, to i uczyć się nie chce. Oj nie dałaby ja — rozżaliła się nagle — aby ty tu sam siedział i ruin pilnował, żeby nie mały. Ale on szkoły skończyć musi, bo i poco jemu tutaj wracać... Już on tu doli nie znajdzie dla siebie.

— Zabrałaby ja cię do chaty. Co jest — starczyłoby na dwoje. Miałby ty wygodę

i odpoczynek. I nie chodziłby w burzę po wyspie.

Stary ocknął się i usiadł na piasku.

— Mnie tu dobrze — powiedział powoli — i niczego nie brak! A ruin pilnować trzeba, bo i płacą za to.

Zwiesił głowę, jakby nagle zaciężyły mu myśli jakieś, których nie mógł zrozumieć. I już nic więcej nie mówił tego dnia.

Wieczorem Erkme wracała do miasteczka. Jurgis w milczeniu odprowadził ją do brzegu i zaraz zawrócił ku chacie. Usiadł na tym samym kamieniu, gdzie zastała go Erkme o świcie i oczy oparł na jeziorze, które zwolna zasnuwać się zaczęło szarą przędzą zmierzchu.

Było cicho.

Od strony ruin ostrożnym, przyciszonym krokiem szedł nikły, stłumiony szept. Stary przechylił głowę w tę stronę i słuchał. Twarz jego zstygła w naprężeniu.

— Czas jeszcze — szepnął wreszcie, jakby uspokojony i poszedł do chaty.

W izbie było szaro. Na kominie żarzyło się kilka drobnych, krwawo-czerwonych skier. Jurgis nie zdejmując ubrania, położył się równo na łóżku i zaczął drzemać..

Chwila za chwilą szły zwolna, lecz ciągle naprzód i wypełniały izbę coraz więcej zwartym mrokiem.

Nagle okno zadźwięczało cicho, jakby uderzone skrzydłem nietoperza. Stary przebudził się i usiadł na łóżku. Słuchał. Stuknięcie odezwało się znowu.

— Przysłali — iść pora — powiedział.

Izba srebrzyła się bladym, zastygłym blaskiem. Jurgis podniósł się z łóżka. Sztywnym, powolnym krokiem podszedł do drzwi — otworzył je cicho i wyszedł przed chatę.

Była noc.

Księżyc świecił wysoko i jasno. Głęboko, na samem dnie jeziora leżało jego odbicie, jak złoty, zatopiony pieniądz. Ruiny zamku, oblane księżycowem światłem, stały jak widma na tle kopulastych drzew. Wiał od nich poszum głęboki i dziwny.

Jurgis szedł cicho przed siebie. Wysoka trawa tłumiła jego kroki. Wiatr szumiał, wiał mu w twarz i rozgarniał siwe włosy, które błyszczały jak srebro, szedł jak lunatyk, zapatrzony przed siebie, wsłuchany w czar księżycowej nocy, grającej melodję baśni.

U bramy ruin przystanął i zajrzał do wnętrza. Jego jasne, szeroko rozwarte oczy dojrzały coś, co uśmiechem odbiło się w jego twarzy, jak w wodzie.

Drżącem ciałem przywarł do zimnej, mchem obrosłej ściany — i patrzał.

W ruinach było jasno. Przez wysokie, w ostre łuki ujęte okna lało się światło.

— — — — — — — — — —

Szli szeregiem — jeden za drugim i cicho, jak duchy. Czasem tylko zaszeleściła lśniąca, srebrem haftowana szata, lub lekko zadzwoniły dzwonki. Wychodzili z czarnej krzewami obrosłej szczeliny i znikali w drzwiach wiodących do środkowej sali. Kiedy przeszli wszyscy, Jurgis poszedł za nimi. Siedzieli w milczeniu wokoło stołu z oczyma utkwionemi w króla. Jurgis usiadł na pozostawionem mu miejscu a król ujął kielich... Wtedy zaczęła się uczta. Cicho dźwięczały misy poruszane lekkością bezcielesnych dłoni. Martwe światło księżyca przesuwało się po bladych twarzach biesiadników. A król mówił słowa jakieś ciche, ciche i do westchnień podobne. Złota korona rubinami migotała na jego głowie — biała, na piersi opadająca broda kołysała się zwolna.

Twarze słuchaczy były smutne. W milczeniu słuchali królewskich słów, które opłakiwały upadek zamku.

Gruz sypie się z odwiecznych murów, a trawa zarasta komnaty. Pajęcza przędza zasnuwa wysokie sklepienia — nietoperze tłuką się po nocach. Ich to już królestwo. Czas odejść.

Król powstał. Za nim podnieśli się wszyscy i długim szeregiem iść poczęli przez wszystkie komnaty. Wysoka trawa wchłaniała szmery ich stąpań. Król szedł na przedzie i krętemi krużgankami powiódł ich ku baszcie, która wysokim, okaleczałym szczytem wysoko sterczała nad wyspą. Jurgis szedł z nimi. Widmowy orszak skupił się dokoła króla, który dotarł do wierzchołka baszty i stał nieruchomo, zastygły w bladem świetle księżyca. Z pod nóg jego sypał się żwir z cichym szelestem i powoli opadał wzdłuż murów.

Król obie ręce wzniósł ponad głowę i mówił. Żegnał się z królestwem, gdyż nadeszła pora, aby je opuścić. Czas odejść stąd, gdzie królują chwasty i ruiny. Czas zrzucić czar, który go więzi na wyspie.

Rubinami migocąca korona, rzucona ręką króla, zakreśliła łuk szeroki i wpadła w jezioro. Jak przejrzała, z nieba spadająca gwiazda.

Jurgis pochylił się gwałtownie i obie ręce wciągnął przed siebie. Schwytać ją chciał. I wtedy mur zwietrzały rozkruszył się pod jego nogami. W nadludzkim wysiłku zakołysało się ciało starca raz i drugi. Wreszcie runęło w dół.

Czarna chmura owinęła się wokoło księżyca i położyła cień na szklistych, szeroko rozwartych oczach Litwina.

— — — — — — — — —

Nazajutrz przed świtem Erkme przypłynęła do wyspy i znalazła martwego w ruinach. Wzięła go na ręce, zaniosła do łodzi i równo ułożyła na jej dnie, podłożywszy pod głowę chustkę, którą zdjęła z ramion. Twarz jej była spokojna i blada. Cicho odbiła od brzegu i drżącym, monotonnym głosem poczęła nucić litewską pieśń za umarłych.

A kiedy słów pieśni zabrakło — tą samą melodją mówiła mu własne. Był w nich sen i ukojenie.

Słowa Litwinki rozpływały się daleko po szerokiej wodzie jeziora, które było ciche i jasne.

Na wschodzie nieba błyszczał świt nowego dnia.

Dokończenie ze strony 8-mej)

Ten nowy sposób dekoracji ściany, spodobał się i wkrótce zaczęto go stosować coraz częściej. Tapeta stała się modna i od tego mniejwięcej czasu rozpoczyna się jej rozwój i droga do dzisiejszej doskonałości.

Papillon, który zajął się produkcją obić papierowych we Francji, nie dysponował żadnym specjalnym warsztatem, któryby pozwolił mu zrobić coś doskonałego. Papillon posiadał jednak dużo inwencji i dobrego smaku i operując swoistym ornamentem, doszedł w swych pracach do zupełnie dobrych rezultatów.

Obicia papierowe fabrykowane następnie przez J. P. Reveillon'a spodobały się ogólnie, a królowie Ludwik XV i XVI wprowadzili je w wielki świat. Pierwszy J. P. Reveillon nie upodabniał swych obić do materjałów, drzewa i kamienia, jak to często czynili jego poprzednicy. Nie naśladował on także znanych wzorów i ornamentów. Jako człowiek przedsiębiorczy zwrócił się do znanych współczesnych artystów, jak Cietti, Fay, Huet, Lawallée-Poussin, aby dostarczyli mu oryginalnych pomysłów.

Reveillon udoskonalił ówczesną tapetę do tego stopnia, że sam sklejał poszczególne kawałki zadrukowanego papieru i dostarczał odbiorcom obicia w rulonach.

Od tego czasu tapeta nie zmieniła się zbytnio. Na murach pokoi i sal ukazują się dekoracje Boucher'a, obrazy, sceny alegoryczne według wskazań antycznych, które walczą o lepsze ze stylami i architekturą współczesną. W końcu pojawiły się olbrzymie obrazy drukowane — przedstawiające całe panoramy, lansowane przez Dufour'a (1752—1827). Znane były jego monumentalne dekoracje, przedstawiające malarskie wizje okolic tropikalnych i egzotycznych.

Przychodzi wreszcie Louis I. Leroy, który pierwszy wysunął pomysł drukowania tapety na taśmie papieru, a nie jak dotychczas na arkuszach. W wieku XIX, który był okresem wielkiego rozwoju techniki, pomysł ten zasadniczo mógł być urzeczywistniony. Ulepszenie to jednak nastąpiło dopiero w wiele lat później za sprawą jednego z potomków Leroy'a.



Przygotowywanie walca do druku tapety.

Zakłady Leroy'ów założone przez Louis'a, modernizowały się i ulepszały swe maszyny. Wreszcie w roku 1844 wprowadzono po raz pierwszy w zakładach tych maszynę rotacyjną, która okazała się naprawdę doskonałą dla tego celu, szybką, tanią i bardzo dokładną. Podobne maszyny do dnia dzisiejszego pracują na usługach przemysłu tapetowego.

Wymagania współczesnej architektury, dążącej do prostoty pozostawiają coraz to mniejsze pole do popisu malarzom i rzemieślnikom, którzy tworzyli swe egzotyczne ogrody i plątaninę misternie stylizowanych roślin na ścianach mieszkań.

Tapeta w dzisiejszych tanich i małych mieszkaniach, jest już dziś prawie nieznaną, aczkolwiek do czasu wojny światowej, odgrywała dominującą rolę w dekoracji mieszkań, nawet najskromniejszych. Dziś odrzuca się ją jako dekorację drogą i mówi się, że jest niehigjeniczna.

Kto wie, czy nie jesteśmy dziś świadkami zanikania tej dekoracji, która przez wieki całe święciła triumfy w pałacach i skromnych mieszkaniach.

B.

WITOLD MARS.

POD ★ CZARNĄ ★ BANDERĄ

Korsarstwo jest równie odwiecznem, jak odwiecznem jest morze i ludzka żądza grabieży. Morze — niezbadane, bezkresne i niepodległe niczyjej władzy, morze, które zawsze może być grobem milczącym, gdzie pogoń trudna, morze to trakt, którym dążą statki ze złotem i klejnotami, bronią i pożywieniem, — morze to „ziemia obiecana" drapieżnych pirackich sokołów. Komu sprzykrzyła się domowa bieda, komu zbyt ciężki codzienny zbożny trud, kogo gna tęsknota i chęć walki, kogo nęci mord i grabież, ten wypływa pod czarną banderą.

Walka to żywioł, który rodzi pieśń o odwadze i sile, a który brudną grabież przetapia na słowa wiersza, czy piosenki. Pieją pieśni o słynnych korsarzach greccy poeci, nucą je przy gitarze na dworach Maurów, snują się oni jako ponure olbrzymy w sagach ziemi lodem skutych — i płyną tęskną dumką przy teorbanie, kozackiego dida, co wyprawy mołojców dnieprowych sławi. Wśród szmaragdowej łąki morza Egejskiego, w labiryncie wysp starożytnej Grecji płyną Argonauci na swe korsarskie podboje, u brzegów Małej Azji mają piraci swe siedliska, swe zamki! Ich floty są wielkie i potężne, a wyciągają swą zuchwałą dłoń na najmożniejszych. W ich mocy był Juljusz Cezar, więzień pirackiego okrętu, za 50 talentów wykupion, rychło złoto wraz z życiem w pomście korsarzom odbierze. Oni uprowadzili córkę Antonjusza; oni gnębią miasta portowe, łupiąc je i porywając niewolników. Ateńska flota broni swych siedzib — Rzymianie wysyłają do walki z niemi zasłużonych wodzów — lecz wiele czasu upłynie nim dosięgnie ich karzący miecz cesarstwa. Wnet pozna Bizancjum te morskie sępy, szarpiące płaszcz jego potęgi. W Tunisie mają te krwiożercze ptaki swe gniazda. — Morze Śródziemne jest terenem ich łowów, w pogoni za ofiarami i łupem. Długo zgnieść ich nie może ani król Francji, ani Zakon rodyjskich czy maltańskich rycerzy, ani siły morskie złocistej królowej mórz Wenecji.

Punktami oparcia korsarstwa na Morzu Śródziemnem jest przedewszystkiem Algier i Tunis. Oba państwa poddane zasadniczo Turcji, wiodą jednak politykę samodzielną a uważając, że pozostają w stanie wiecznej wojny z państwami chrześcijańskiemi, są eo ipso sprzymierzeńcami piratów. Niejednokrotnie państwa europejskie dobywają przeciw nim miecza: w r. 1541 Karol V. wyprawia się z dużą flotą na Algier, ale burza, która szaleje 25 października tegoż roku niszczy jego zamysły. Również w połowie XVII-go wieku Francja dąży do zgniecenia tych gniazd zbójeckich, co jej udaje



Po szczęśliwej wyprawie piraci ucztują przy dźwiękach muzyki.

Poniżej: Nieraz korsarz zakończył tragicznie swój żywot..



Poniżej: „Chorąży" pirackiego statku zjawia się na pokładzie spokojnego żaglowca handlowego...



się tylko przejściowo. Stan ten istnieje właściwie do połowy XIX-go wieku, kiedyto Francja ostatecznie przystępuje do zdobycia tego kraju. Za rządów króla Karola X-go dochodzi do decydującej walki. Właściwym „casus belli“ było uderzenie francuskiego konsula Devala przez deja Algieru wachlarzem, co zdarzyło się dnia 27 kwietnia 1827 r. W czerwcu tegoż roku Francja blokuje Algier a dnia 5 kwietnia 1830 r. wojska jej wkraczają do miasta. W ten sposób upada ostatnie państwo pirackie i Morze Śródziemne staje się bezpiecznem.

Nietylko Morze Śródziemne jest siedliskiem i polem walk korsarskich. Na dalekiej północy ruszają na zbójeckie wyprawy płowowłosi Wikingowie w swych łodziach o fantastycznie wygiętych dziobach. Jadą w kraje bogate i żyzne, gnębią wybrzeża Francji, Sekwaną docierają w głąb kraju, aby umocniwszy na brzegach rozbite obozy, siać wdół śmierć i przerażenie. Królów zmuszają do opłacania się im daninami, w Normandji rządzą się jak w własnym kraju, szarpią dobytek nadbrzeżnych miast Anglji i Islandji, docierają nawet do Ameryki. Na Bałtyku toczą zawzięte boje z słowiańskimi wrogami, którzy im nie dłużni, wysyłają swe zaborcze okręty do Danji i Szwecji. Zdarzy się, że obotryccy piraci zawładną częścią Danji, że na wyspie Wolmie wraz z Normanami założą zbójecką republikę, by za losu odmianą uledz zagładzie z ręki króla Danji. Roją się północne morza od piratów, forbonów, bukanjerów, frajbiterów i filibusterów — cierpią na ich rozbojach statki Hansy i wolnych miast kupieckich. Każde z państw żal do innego czuje za swego handlu szkody. Skarżą się polscy mieszczanie na piratów angielskich rozboje — ale cóż, Sierpinek i Wąsowicz niemniejsze szkody poddanym królowej Elżbiety czynią. Gdzieś na odległych krańcach mórz, kędy słońce zachodzi, Krzysztof Kolumb nową ziemię odkrywa. ziemię złotem i wszelkiemi bogactwami zasobną. Ruszą w ślad za królewską flotą statki kupieckie, a w trop za nimi czujne okręty filibusterów i piratów. Najprzedniejszy to kęsek suto złotem ładowane galeony i karawelle skarbami gromadzonemi spęczniałe. Są oni zresztą niejednokrotnie mimowolnymi odkrywcami nowych ziem i wysp nieznanych. Krążą liczne legendy o nieprzebranych skarbach ukrytych na tajemniczych wyspach, do których drogę wskazują stare, żeglarskie mapy. Piraci tworzą rodzaj bractwa, nazwą się oni wkrótce rycerzami fortuny i kawalerami przemysłu, aby choć szychem tytułu zakryć swój brudny łachman zbójeckiej egzystencji. Gdy rozgorzeje wojna, otaczają pieczą swych korsarzy wojujące państwa. Oni to mają niszczyć handel przeciwnika, dowozowi przeszkadzać, niespodzianie dywersję czynić.



Pojmani do niewoli kupcy stanąć muszą przed sądem morskich rabusiów, który zadecyduje o ich życiu.

Statek, to rządzone samodzielnie przez kapitana, małe państewko wykolejeńców wszystkich ras i narodowości. Dziwne są, poplątane ścieżki życia piratów: niejednego zawiodły w ręce kata — ale byli i tacy jak Jan Bard, których doprowadziły do szlachectwa i dowództwa królewskiej fregaty.

Wreszcie kończą się dzieje korsarstwa w połowie ubiegłego wieku, wraz ze zdobyczami techniki i opanowaniem morza znikają ostatni piraci.

Znów na chwilę ożyją nowem życiem na kartach księgi, Silver bez nogi i mężny kapitan Blood będą się wyłaniać z rozdziałów powieści i nachodzić małych chłopców — będą im szeptać o cudach mórz dalekich, o egzotycznych krajach i radościach walki. A kiedy po przeczytaniu ostatniej stronicy mały czytelnik zamyka książkę, kawalerowie fortuny i rycerze przemysłu znów zapadają się na swych fregatach i okrętach na dno morza zapomnienia.



Na widok zbliżającego się statku pirackiego, popłoch ogarnia nawet najodważniejszego admirała... *Wszystkie ilustracje wykonał Witold Mars.*



Katedra w Taragonie (Katalonja) jest jednym z najstarszych i najpiękniejszych zabytków architektury półwyspu pirenejskiego. — Odznacza się ona dziwnym umiarem w kompozycji i wyjątkową „koronkowością" rzeźb.
Presse-Ph., Berlin.

Jedziemy w słoneczną dal...



Widok ogólny Wenecji.

Po prawej: Dubrownik widziany z góry św. Jakóba.



Zwycięskie Włochy otwarły szeroko swe bramy dla turystów zagranicznych, którzy ze środkowej zwłaszcza Europy, gromadnie już przybywają do słonecznego kraju Latynów. Z Polski przy



Tylokrotnie opiewane przez poetów Sorento należy do najpiękniejszych zakątków Italji.

będzie do Włoch w bieżącym sezonie wielka wycieczka reprezentacyjna Czytelników IKC, zorganizowana pod hasłem „Słońce, które łączy Narody". Pojedziemy do Italji ażeby zamanifestować naszą wielką przyjaźń dla potężnego Narodu, który dzięki mocy ducha czerpanej z wielkiej przeszłości, odniósł wspaniałe zwycięstwo. Będzie to niejako manifestacja węzłów sympatji, jakie łączą nas z wielkim Narodem włoskim.

* * *

Chociaż Włochy stanowią od wieków ulubiony cel wycieczek turystów i właściwie wszystko co tam godnego jest widzenia sfotografowano i opisano na wszystkie strony i boki, to jednak tylko ten może sobie urobić wyobrażenie o uroku tego kraju, który zobaczył go na własne oczy. Są rzeczy, są uczucia i przeżycia, których opisać nie można a trzeba je odczuć samemu, własnemi oczyma, własnem sercem i duszą. Drugim co do barwności turystycznych wrażeń krajem jest bezwątpienia Jugosławja, oraz Bałkany wogóle. Wraz ze wzrostem znaczenia politycznego Jugosławji zabytki jej zyskały w ostatnich kilkunastu latach odpowiednie uznanie. Przecież duża część tego pięknego kraju jest wykwitem kultury łacińskiej, a zwłaszcza pobrzeże Adrjatyckie nosi na sobie wyraźnie piętno wpływów włoskich w architekturze, malarstwie i charakterze ludności. Jeżeli dodamy do tego wspaniałą naturę, lazurowe wody Adrjatyku, to łatwo możemy zrozumieć, iż kraj ten naprawdę zasługuje na zwiedzenie.

Koncern IKC. organizując tę wycieczkę, pragnął dać niejako premję swym czytelnikom w postaci niezwykle atrakcyjnej podróży za bardzo niską cenę. — Przejedziemy bowiem 3200 km lądem i 900 mil morzem. Odwiedzimy kolejno Budapeszt, stolicę zaprzyjaźnionych Węgier, Split i Dubrovnik, Jugosławję, wyspę Patras w Grecji. Potem na pokładzie luksusowego motorowca włoskiego „Saturnia" przepłyniemy przez morze Jońskie, cieśninę Messyńską, a następnie wylądujemy w Neapolu. Stąd poprzez całe Włochy pojedziemy na północ. Zwiedzimy Rzym i Wenecję. Wreszcie powracamy do kraju przez Wiedeń.

Cena uczestnictwa wynosi zaledwie 590—770 złotych. Bliższe szczegóły zawiera prospekt, wysyłany przez administrację IKC. Kraków, Wielopole 1.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Zdawałoby się, że poczta niemiecka nie zna przysłowia bardzo rubasznego, ale niemniej trafnego: „przyganiał kocioł garnkowi,...". Poważni zbieracze kraju, w którym filatelistyka traktowana jest tak serjo i omal naukowo, zawsze wyśmiewali się z Hiszpanji, Włoch czy Rosji sowieckiej, drukującej serje okazyjne bez opamiętania. Albumy nietylko młodych zbieraczy nie mogą już pomieścić tego wszystkiego, ale nawet starszych i zamożnych amatorów nie stać na kupienie tych znaczków, które się bieżąco ukazują.

Naiwnym byłby bowiem ten, ktoby się spodziewał, że z korespondencji uda mu się dostać wartości po 100 lirów (!) lub całe serje do 10 pesetów. Rzesza niemiecka przez długi czas kontentowała się regularnemi serjami, ale powoli, kiedy ministerstwo poczt zasmakowało w łatwych zarobkach, a zbieracze nie mogli wysyłać żadnych pieniędzy zagranicę wobec ograniczeń dewizowych, zdecydowano się pójść po tak bardzo przedtem krytykowanej drodze.

Nie przeczymy, że Olimpjada to zdarzenie doniosłe, nadzwyczajnej wagi. Ale dlaczego do znaczków olimpijskich pobiera się tak wielkie dopłaty? Są one wprawdzie wykonane pierwszorzędnie i łączą walory wklęsłego druku z dokładnem oddaniem momentów sportowych — ale właśnie przez wysoką swą cenę nie będą tak rozpowszechnione jakby to powinno mieć miejsce.

W Niemczech ustalił się ponadto zwyczaj drukowania znaczków w zestawieniach po 2 lub więcej sztuk różnych wartości, a sprzedawanych w specjalnych zeszycikach — dla wygody kupujących. Uważamy, iż zbieranie tych zestawień jest jeszcze dalej posuniętą specjalizacją, aniżeli odróżnianie ząbków, znaczków wodnych i półtonów. Reprodukujemy narazie 3 sztuki nowej serji: 6+4 f. zielona, 4+3 f. c. niebieska, 25+15 f. ultramarynowa. Razem jest 8 wartości, przedstawiających pozostałe letnie sporty. Zastosowano tutaj także rozmaite zestawienia, ale tylko przy niższych wartościach. Znaczki olimpijskie zostaną jednak przyjęte przez krytykę z uznaniem, ale czy zaciekawi filatelistów zwołany przez „N. S.-Gemeinschaft: Kraft durch Freude" kongres. Odbędzie się on 23—30 lipca i wobec tak ważnej (?) okazji nowa serja gotowa. 2 sztuki za 6 i 15 f. przedstawiają robotnika i dziewczynę, trzymającą gołębia. Jeżeli w następnym numerze nie będziemy w posiadaniu ciekawszych nowości, pokażemy ją Czytelnikom „Asa", jak również i wydaną z okazji wyścigów konnych „Braune Post". Jest to znaczek 42 (!) fenigowy, w czem mieści się już dopłata. Cóż z tego, że jest podobno b. ładnie wykonany, kiedy filatelistycznie zupełnie niepotrzebny.

W. H.



Znaczki Rzeszy niemieckiej, wydane z okazji Olimpjady w roku 1936.

W CZTERY OCZY Z „WIELKIM KPIARZEM"

Do najwybitniejszych współczesnych autorów należy bezwątpienia Bernard Shaw, autor niezapomnianego „Pigmaljona", „Matołka z wysp nieoczekiwanych" i wielu innych sztuk. Z znaczeniem Shaw'a w literaturze łączy się jeszcze zainteresowanie jego osobą, jako człowiekiem prywatnym. — Jest on przecież nietylko mistrzem w tworzeniu paradoksów i nieoczekiwanych powiedzeń w swych sztukach, ale również jego życie obfituje w momenty nader efektowne. Oto starzec o krzaczastych brwiach twierdzi, że nie lubi reporterów i nie znosi, żeby się nim zajmowano, tymczasem niema bodaj pozy życiowej, w którejby nie dał się niejednokrotnie fotografować! Gdy powróciwszy z Rosji opowiadał hymny pochwalne na temat tego kraju, wszyscy czuli się tem nieco zaskoczeni i zrażeni. Lecz Wielki Kpiarz wnet ich uspokoił, oświadczył bowiem, że w tym kraju, w którym wszystko jest gigantyczne, widział największe w swojem życiu... wszy! W swojej sztuce „Wielki kram" rozprawił się on również oryginalnie z formą rządów monarchicznych w Anglji, chociaż z drugiej strony jego burzycielstwo ustalonych form życiowych jest właściwie tylko „na niby".. I tak gdzie tylko tknąć Wielkiego Kpiarza, wszędzie spotykamy się z paradoksami i zasadzkami psychologicznemi.

Wobec tego, że o Bernardzie Shaw krąży tyle nieprawdopodobnych wersyj, dziennikarz londyński postanowił sfotografować go w różnych pozach, aby dać wyobrażenie „objektywne" o genjalnym starcu bez względu na nastawienie wobec niego. Oto kilka jego uśmiechów i spojrzeń a obok jego słowa.



SHAW-FILOZOF.

Jakie Pan ma obecnie największe życzenia od życia?

Chciałbym mieć tylko spokój! Wtedy dopiero bowiem mogę obmyślać problemy, wnoszące niepokój w świat cały, wtedy najlepiej mogę pisać żywo, dynamicznie i niepokojąco. Udaje mi się to tylko wtedy, gdy naokoło jest spokój, zupełny spokój! Całe życie składa się z paradoksów, i to jest również jednym z nich.



SHAW-NIEWINIĄTKO.

Cieszy się Pan opinją człowieka, który wprowadza zamieszanie, który wywraca wszystko do góry nogami, który burzy najbardziej zakorzenione zasady, poglądy i instytucje! — Ja? Nic podobnego! Nawet mi do głowy nie przychodzi cośkolwiek przewracać do góry nogami! Zresztą pocóżbym miał się tem trudzić? Wszak załatwia to sama kula ziemska, która nie może ustać w jednem miejscu i ciągle się kręci, jakby sobie szukała lepszego, wygodniejszego miejsca! A zresztą ci, co najbardziej baczą na to, aby wszystko stało w swojem miejscu, są pierwszymi, którzy do burzenia się przyczyniają: zbyt długi spokój jest pierwszym objawem, wskazującym na to, iż wkrótce coś się zmieni!



SHAW-KRYTYK.

Tyle o Panu krąży różnych wersyj, plotek i bajek, że trudno się zorjentować co do prawdziwego pańskiego oblicza! Jakim Pan właściwie jest?

— Niech Pan nie słucha tego, co o mnie mówią! Niech pan tylko przeczyta moje sztuki, czego pan napewno nie uczynił, skoro pan przyszedł robić ze mną wywiad! Ze sztuk moich pozna Pan moją naturę: są one pełne paradoksów i przez to samo każda cnota czy wada jest w nich reprezentowana, jest więc w czem wybierać!



SHAW-JOWJALNY.

Zarzucają Panu, że pańskie sztuki pełne są cynizmu!

— Panuje co do tego słowa zupełna ignorancja i pomieszanie pojęć! Sam fakt, że człowiek zdaje sobie sprawę, iż jest cynikiem, wykazuje, iż jest człowiekiem cnotliwym, gdyż inaczej wady swoje i przewinienia nie uważałby za cynizm, ale za rzecz zwykłą. — Otóż nie jestem cynikiem, a przynajmniej nie uważam się za takiego! Może Pan z tego wyrobić sobie sąd o moich zaletach serca! Na stworzenie sobie odpowiedniego obrazu daję Panu rok czasu! Proszę się namyśleć — a tymczasem good-bye!

J. G. M.

ŻYCIE ★ DO ★ PARY



Zgodne małżeństwo jaguarów!

Zwierzęta są miłe, wierne, usposobione przyjacielsko, kochają się nawzajem, nie knują intryg, nie plotkują, nie kłamią. Żyją przeważnie w parach — a nie w trójkątach. Dlatego też uważamy je za stojące na niższym szczeblu rozwoju od gatunku ludzkiego.

Miłość zwierzęca... ileż pogardy mieści się w tem powiedzeniu. To taka miłość prosta, nieskomplikowana, naturalna, niewymyślna, nieurozmaicona. Dobrała się para istot i czuli się do siebie. Podpatrzył takie mizdrzące się do siebie parki nasz fotoreporter, który jest n a j n i e d y s k r e t n i e j s z y m człowiekiem pod słońcem i cudzego życia prywatnego nie uszanuje. Korzysta z tego, że zwierzęta nie mają parawanów, zasłon — że buduarem ich jest świat szeroki, w którym nawet w nocy nie można przyćmić światła księżyca i gwiazd.

Zwierzęta miłości swej nie ukrywają. Nie bawią się w ciuciubabkę. — Są szczere i otwarte. I to nas razi. Nas ludzi, którzy lubimy tajemnice, sekreciki, intryżki, kłamstewka. Miłość bez tych wszystkich dodateczków wydaje się nam rzeczą nudną.



Czułość gołąbków jest przysłowiona.



A oto przywitanie dwóch „kolegów".



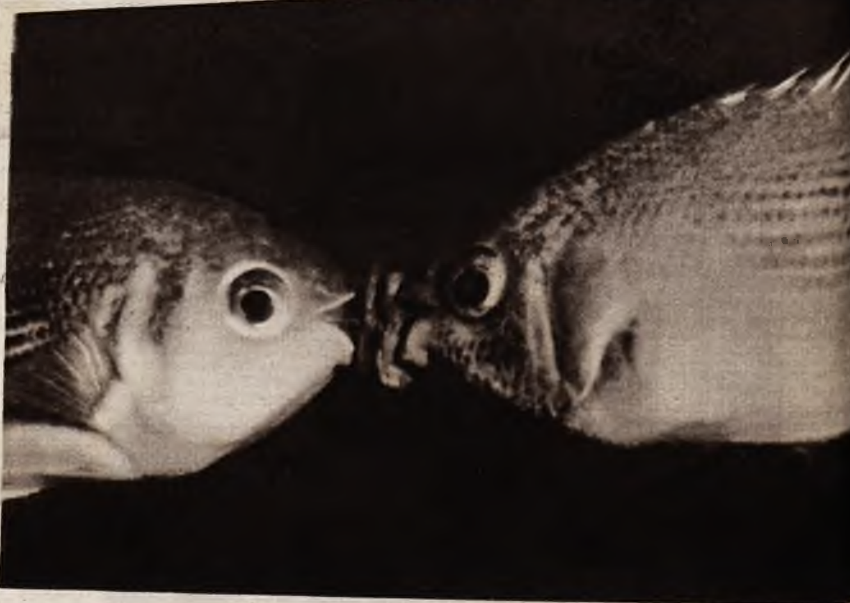
Pocałunek słoni jest nieco... skomplikowany.



Po prawej: Serdeczny uścisk dwóch ślimaków, które wyszły na chwilę... z domu!

Poniżej: Przywitanie srebrnopiórych kochanków. Scherl, Berlin.





Uczyniliśmy z miłości grę — i to najgorszą z gier — poker. Dwie strony z pewnemi siebie minami — bluffują się do ostatnij chwili. Gdy chcemy być intresującymi — operujemy niedomówieniami. Stwarzamy koło siebie sztuczną mgłę tajemnicy. Zaczynamy intrygować, gniewać, wyprowadzać z równowagi przeciwnika. I to nas więcej bawi — niż sama istota miłości.

Dla człowieka walka jest czemś bardziej interesującem niż — zgoda. A im większa ilość walczących — tem zmagania ciekawsze. Szukamy więc partnerów i ustawiamy ich na szachownicy naszego życia niby figury, któremi szachujemy naszych przeciwników.

W miłosnych kłopotach ludzkich sprawę zazwyczaj komplikuje zbyt duża obsada ról. A grający role drugoplanowe mają ambicję wysunięcia się na plan pierwszy.

Życie do pary — stwarza zbyt mało pola do zawikłań, kłamstw, intryg.

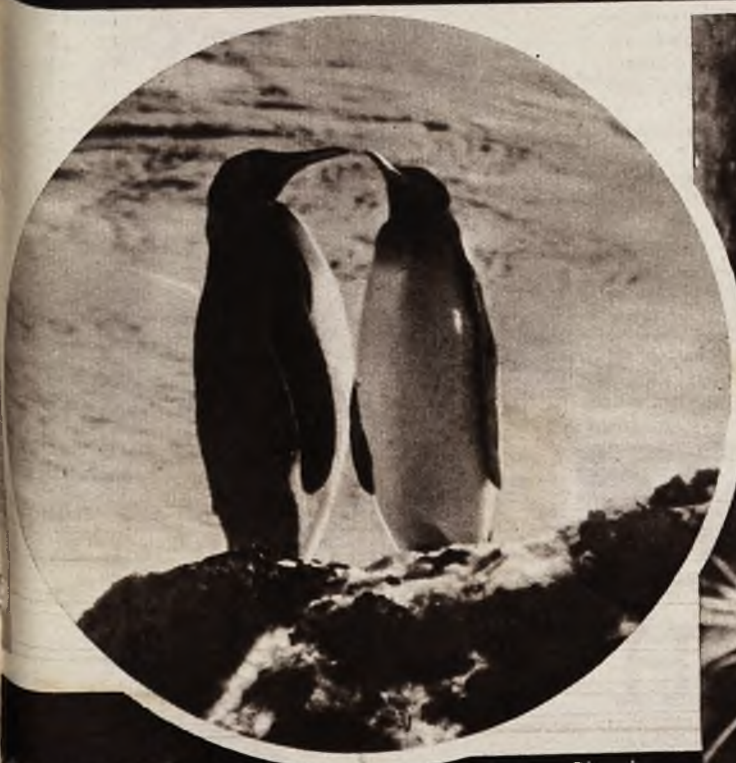
Dlatego też pozostawmy je zwierzętom, które kłamać nie umieją. My jesteśmy usposobieni społecznie. To znaczy, że chcemy się kłócić w większej gromadzie. Kłótnie z jednym tylko człowiekiem w krótkim czasie stają się zbyt jednostajne.

„Świat do pary" istnieje tylko w zoologach, gdzie mieszkają zwierzęta wyrwane z gruntu ojczystego. Zalęknione, oderwane od właściwego im otoczenia żyją za kratami „we dwoje". To prawie tyle co samotność.

Bo istoty, które żyją tylko we dwoje — stają się jednością.

Jest w tem przeświadczeniu coś co zachwyca i — coś co do rozpaczy doprowadzić może.

Grot.



W kole Pingwiny całują się raczej konwencjonalnie!
R. Sennecke, Berlin.

Na prawo: Przed pocałuukiem — Clark Gable i Jean Harlow.

Po lewej: Gorący pocałunek zimnokrwistych ryb.

Poniżej: Pocałunek „z dubeltówki" białych niedźwiedzi.





DOMY W OGRODACH

Prastarą jest miłość człowieka ku kwiatom i drzewom. Określa ona wyraźnie w każdej epoce stopień cywilizacji i kultury narodu.

Już w skalnych grobach Beni Hassan spotykamy najstarsze plany ogrodów, otaczających pałace faraonów XVI dynasji, w Tell Amara, w środkowym Egipcie. Powszechnie znane są legendy, opowiadające o pięknie i zbytku wiszących ogrodów królowej Semiramidy w Babilonie.

Sykomory, palmy, akacje, jaśmin, rozmaryn, chryzantemy, mirt i winograd, oto najstarsze elementy dekoracyjne, używane przy planowaniu ogrodów starożytności.

Rzymianie lubowali się namiętnie w hodowli róż i fjołków. Każdy niemal dom patrycjusza rzymskiego otoczony był umiejętnie pielęgnowanemi przez greckich ogrodników drzewami, lub ogrodami, a wnętrze przepełnione bogato ozdobną roślinnością. W Pompeji, w najdoskonalej zachowanym domu Vettii, możemy podziwiać jeszcze dziś atrium z obszernem impluvium (basenem) i czynnemi antycznymi wodotryskami. Rabaty krzewów i kwiatów otaczają basen, a pomiędzy posągami domowych bogów poustawiane bogato rzeźbione wazony marmurowe wypełnione kwiatami. Znakomicie pod względem technicznym przeprowadzone wodociągi dostarczały w obfitości rzymskim ogrodom potrzebną wilgoć.

Z upadkim starożytnego Rzymu giną piękne ogrody, niszczeją kultury kwiatów i drzew owocowych!

Dopiero w początkach XI w. pojawiają się znowu szlachetne odmiany drzew i kwiatów, troskliwie pielęgnowane przez zakonników. Dziedzińce i krużganki klasztorów Cystersów, Benedyktynów i Franciszkanów toną w powodzi kwiecia. Lilje, lawendy, goździki to umiłowane kwiaty średniowiecza. W okresie odrodzenia przypada epoka hjacentów, a w wieku XVIII na dworach arystokracji holenderskiej, francuskiej i angielskiej zapanowała gorączkowo tulipanomanja.

Jak wielkie było zamiłowanie do kwiatów XVIII w. świadczy fakt, iż już w r. 1730 znano w Europie około 300 odmian goździków.

Przełomowym okresem w rozwoju ogrodniczej sztuki był rok 1788, gdy z dalekich zamorskich kolonij angielskich przywieziono pierwsze fuksje, kamelje, azalje i hortenzje, zaś z Japonji dalje i chryzantemy, a z Meksyku georginje.

Ulubionym kwiatem XVIII w. była róża t. zw. „rosa gallica" (centifolja). Tę królowę kwiatów zwyciężyła piękniejsza rywalka sprowadzona z Indyj w roku 1820, róża herbaciana („rosa frangrans").

Architektura każdej epoki wycisnęła swe piętno na charakterze ogrodów. Planowano



Powyżej: Motyw dekoracyjny współczesnego domu — pnące róże upiększające zarówno dom, jak ogrodzenie i otaczające mury.



Duże masywy drzew tworzą wspaniałe tło dla współczesnej willi



Powyżej: Staropolski dworek obrośnięty jest przysłowiowo krzewami i kwiatami.



Domki campingowe w Juracie dostosowane są do otoczenia leśnego.

je w Italji, geometrycznie w ścisłej łączności i symetrji z architekturą zamków i ich perspektywami. Pałacowy park „Boboli", otaczający pałac Pitti w Florencji, oraz wersalski park zaprojektowany w dużej części przez genjalnego architektę francuskiego Mansarta, to typy stylowej architektury ogrodów franko-italskich.

Anglja natomiast poprzez Wschód i Holandję przejęła inny typ ogrodów, skomponowanych na zasadzie malarskich walorów. Angielski projektodawca parków podkreślał swą sztuką naturalny wdzięk przyrody, zachowując przedewszystkiem stare, naturalne zadrzewienie. Angielski styl ogrodniczy zachował się do dzisiejszych czasów, utrzymany i rozwinięty przez współczesnych architektów. Już w XIX w. powstają liczne zwłaszcza w Niemczech, naśladownictwa t. zw. parków angielskich.

Japonja skomponowała dla swych miniaturowych domków podobne miniaturowe, zdegenerowane ogródki, ozdobione skarłowaciałemi drzewami wiśni, krzewów chryzantemy i dalji.

Człowiek nowoczesny, propagujący tak wszechstronnie w mieszkaniowej kulturze funkcjonalizm, przystosował również dla swoich celów sztukę ogrodniczą.

Dom współczesny nie odgranicza się jak dawny, — wąskiemi oknami i drzwiami od ogrodu, lecz wchłania go w siebie.

Szerokie, oszklone drzwi i okna łączą bezpośrednio mieszkanie nowoczesne z ogrodem. Powstają pewne wysunięte części domu, w których zatraca się granica pomiędzy wnętrzem a ogrodem. Na tarasach rozmieszcza współczesny architekt baseny, przypominające rzymskie impluvium. Mieszkaniec nowoczesnej willi podmiejskiej, pragnie odbywać u siebie nietylko kąpiel powietrzną, lecz nawet wodną w swym własnym basenie. Zamiast ścieżek posypanych żwirkiem, trudnych do utrzymania w czystości, używają współcześni ogrodowi architekci, kamiennych płyt, łatwych do utrzymania w porządku i pięknie harmonizujących z zielenią trawnika.

Murek kwietny z pnącą zimno-trwałą florą skalistą bawi oko od wczesnej wiosny, aż do późnej jesieni. Podmurówka z kamienia tworzy malownicze terasy, obsadzone zimnotrwałemi bylinami. Drzewa nie zasłaniają domu, lecz są akcentami dekoracyjnymi, lub spełniają często użytkową rolę (karłowate, owocowe drzewa).

Ogród i dom współczesny musi kąpać się w słońcu.

Architektura dzisiejsza wydała wielu zdolnych architektów, którzy umieli opanować wpływy kubizmu i t. zw. pudełkowej architektury a stworzyli z szlachetnym umiarem skomponowane przepiękne wzory domów, uwzględniające indywidualny charakter właściciela, logicznie przetłumaczony na język funkcjonalnej architektury. Do najznakomitszych współczesnych architektów harmonizujących budowlę z otoczeniem ogrodowem, należą H. B. Colt, Goodhart-Rendel, Clough Williams-Allis, John Armstrong, John Hill, Nicolas de Molas z Londynu, dr Martin Wagner z Berlina, Józef Urban z Wiednia.

Polska architektura nowoczesna nie pozostaje w tyle obecnego ruchu odrodzeniowego. W willowych dzielnicach Warszawy na Żoliborzu i kolonji Staszyca spotykamy wytworne wille podmiejskie, projektowane przez inż. architektów Brukalskiego, Pniewskiego i innych. Zaś w Poznaniu na Sołaczu, we Lwowie w dzielnicy „Bajki", w Krakowie na Osiedlu Oficerskiem wyrósł szereg wytwornych i harmonijnie w otoczeniu ogrodowem skomponowanych domów.

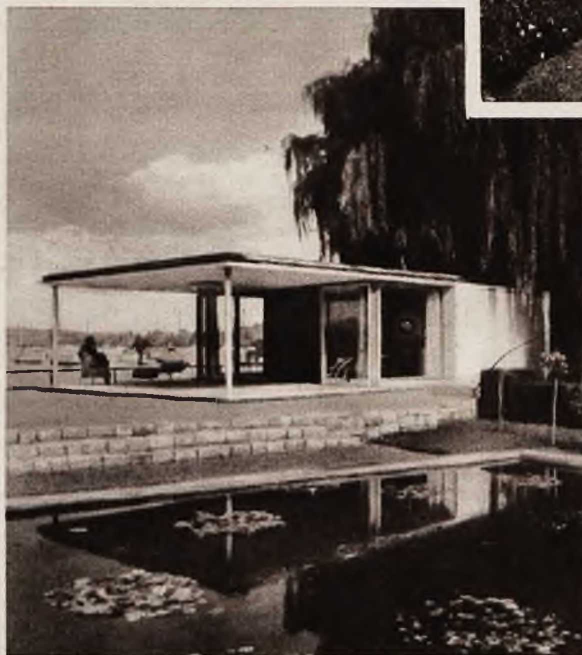
Powstają również przemiłe domki weekendowe na polskim brzegu morskim. Ludność miejska nawet najbiedniejsza, wykazuje coraz goręcej swe zamiłowanie do ogrodnictwa i pielęgnowania swych własnych ogródków działkowych. Dobrze, iż zaczyna być cechą naszej epoki pragnienie posiadania, choćby skrawka ziemi zarówno przez biednego czy bogatego. Ogródek własny, to cel marzeń, wysiłku i pracy. Ogródek, w którym praca staje się odpoczynkiem.

Miłość do ogródków i kwiatów świadczy chlubnie o kulturze współczesnych, wśród których dla wielu jest ona jedyną poezją życia!

M. Dienstl-Dąbrowa.



Powyżej: A oto nowoczesna willa w Sao Paulo w Brazylji.



Powyżej: Mała choćby sadzawka nadaje miejskiej willi charakter prawdziwie wiejski.



Powyżej: Posadzka tarasu willi poprzecinana jest trawą, rosnącą swobodnie między kamiennemi płytami.



Powyżej: Nawet duży dom, skoro znajduje się w otoczeniu pięknych drzew, posiada swoisty urok.



Powyżej: Bogata flora Brazylji jest wymarzoną ozdobą ludzkich siedlisk.



Na prawo: Typ współczesnej pięknej willi, której urok polega w wielkiej mierze w kwiatach i zieleni.

Pod sztandarem „Banialuki"



Karta tytułowa opowieści Hieronima Morsztyna, wyd. z r. 1750. (Z bibljoteki autora).

Dzisiaj nazywa się ich poprostu grafomanami, dawniej szli za ogólną modą, wymagającą, aby każdy szanujący się człowiek umiał w razie potrzeby napisać zgrabny wierszyk okolicznościowy. Oczywiście, że nie chodziło wtedy o „wielką" literaturę, a wyczyny pisarskie traktowane były jako jeden ze składników ogólnej edukacji i miały zaświadczać jedynie o bystrości umysłu. Nagminnie grasująca poezja w postaci choroby epidemicznej z przebiegiem często ciężkim, trapiła ludzkość od czasów renesansu, kiedy z upadkiem średniowiecznych stosunków przyszły zupełnie nowe ideały życiowe. Przecież wyraźnie mówi włoski autor odrodzenia, Baltazar Castiglione w swoim „Il Cortegiano", że człowiek chcący się zaliczać do dobrej kompanji musi umieć napisać madrygał, życzenia imieninowe dla swojej ukochanej i wogóle opiewać ważniejsze zdarzenia swego życia w formie wierszowanej.

I szli za wskazówką Castiglioni'ego nietylko ludzie mający talent, ale przedewszystkiem, — i to jest najgorsze, — ludzie bez talentu, a lubiący pisać! Wprawdzie u nas w Polsce grafomaństwo wyrażało się przeważnie w formie panegiryków pisanych ad hoc przez różnych mniej lub więcej utalentowanych zakonników, ogólnie jednak publiczność świecka nie brała udziału w tym stopniu co zagranicą w turniejach poetyckich. Ale i to zczasem przeszło do nas, chociaż z opóźnieniem. W XVII w. spotkamy już niejednego autora, którego jedynie można zaliczyć do poetów „in partibus infidelium". Mamy przedewszystkiem w pamięci człowieka, który wzbogacił język polski o jedno bardzo znane wyrażenie. Uczynił to mimowoli, — a słowo to brzmi: banialuka! Człowiekiem tym był Hieronim Morsztyn, pochodzący z uzdolnionej zresztą literacko rodziny, która od XVII w. wydała kilku wybitniejszych autorów, z podskarbim wielkim koronnym Andrzejem na Raciborsku Morsztynem na czele. Książka, która stała się „negatywną sławą", zresztą w innych dziełach niezłego autora, nosi tytuł „Historye ucieszne o zacney królewnie ze wschodnich kraiów Banialuce". Obejmuje ona nieprawdopodobne jakbyśmy dzisiaj powiedzieli „bujdy" napisane na wzór lubianych jeszcze aż po koniec XVIII w. opowieści rycerskich, w których fantazja łączyła się ze zdarzeniami aktualnemi, tworząc dziwny galimatjas prawdy z światem urojonym. Oczywiście, że tłem całej historji są przeżycia dzielnego rycerza, który zdobywa serce i rękę mniej lub więcej zaczarowanej królewny, zamieszkałej w jakiejś fantastycznej puszczy. O ile sama opowieść nudna jest nieprzymierzając jak „flaki z olejem", co zresztą zauważyli już współcześni, chociaż mieli później wytrzymałość czytania „Nowych Aten" ks. Chmielowskiego, a co więcej różnych panegiryków i ulotek, to jednak z drugiej strony książka ta stanowi ciekawy materjał obyczajowy. Np. dowiadujemy się o tem, co jadano za czasów Morsztyna i jak wyglądały ozdobnie urządzone pokoje. „Izba dosyć przestronna, Pawiment ciosany, Dywańskiemi obite ściany kobiercamy, siędzie za tym do stołu już podle krolowna..." a dalej czytamy o szeregu potraw, które zjawiają się na stole podczas biesiady. „Że nań chce być łaskawa, to pierwszy znak pewny, Dosyć potraw rozmaitych: Tu dzika zwierzyna, ówdzie się z misy kurzy tłusta cielęcina; Sam jarząbek w rosole, Indyk do podlewy, Tu w zaprawnym Pasztecie, Bażant, iakie dziwy. We śrzodku Puszcze, takie wymyślne potrawy, Nie wiem skąd posyłano, Dziwne prawie sprawy: Tam Drop siedział na misie z nosem zakrzywionym, Ówdzie udziec Jeleni z kopytem złoconym: Cetryny, Salcesony są i Aniwelle, Więc y Włoskie Menestry, także Figatelle".

Cała historja kręci się dookoła różnych ckliwych i przesadnych faktów w sosie tak typowym dla tych „roman de chevalerie". Takie to powieści doprowadziły bohatera genjalnego dzieła Cervantesa — Don Kiszota do stanu, w jakim dokonywuje swoich fantastycznych wyczynów z wiatrakami w La Manchy.

Ale takich „poetów" było więcej. Słynne było powiedzenie, które obiegało za czasów Księstwa Warszawskiego o panu Marcinie Molskim: „Bieży Molski, w ręku oda, dla Chrystusa dla Heroda, a w zapasie wierszy trzysta, dla przyszłego Antychrysta". Istotnie pan Molski urodzony w r. 1751, zmarły w 1822 r. był „słynnym" wierszopisem, zamęczającym swych znajomych. Obdarowywał swemi utworami wszystkie wybitniejsze osoby, pojawiające się w Warszawie. — Będąc bardzo giętkim w poglądach i godząc się z każdym stanem rzeczy, Molski stał się prototypem „oficjalnych" chwalców cudzej wielkości. Krążyło o nim również powiedzonko „jakikolwiek jest los Polski, zawsze wiersze pisze Molski".

Ułożono też fikcyjny jego nagrobek: „Tu leży Molski, szanujcież tę ciszę, bo jak się obudzi, komedję napisze!"

Ale zarówno jeden jak i drugi przez nas wymieniony poeta nie może iść w paragon z panem Jaxą-Marcinkowskim i Soterem Rozmiar Rozbickim. Pierwszy żył w czasach Królestwa Kongresowego i wsławił się poematami „Gorset" i „Nowy Parnas". Typowy grafoman, odczytywał swoje utwory w salonach ówczesnej Warszawy a kiedyś wybrał się z niemi na zebranie towarzyskie do kasztelanowej połanieckiej. „Gorset" pełen był dwuznacznych aluzyj, to też pani kasztelanowa wyprosiła natrętnego poetę. — Utwory Marcinkowskiego tak były niesłychane i tak głupie, że w ówczesnem towarzystwie znaleźli się dowcipnisie, którzy tym samym mniejwięcej stylem i tonem naśladowali owe poematy. I tak Gustaw hr. Olizar dodrukował w r. 1821 „Podróż na Parnas" oraz „Jaxyadę", która była wykpieniem nieszczęśliwego poety.

Ale i ten okaz Parnasu ustępuje wobec popularnego na gruncie warszawskim w czasach paskiewiczowskich Sotera Rozmiar Rozbickiego. Było to zjawisko arcydziwne, z poważną miną natrząsał się on ze zdrowego rozsądku i poważnych ludzi, częstując ich swemi wierszami w zamian za smaczny obiadek. Gdyby żył dzisiaj, możeby stworzył własną szkołę poetycką a w każdym razie mógł uchodzić za jakiegoś „awangardzistę". Naówczas uważano go za nieszkodliwego pomyleńca, zapraszano do stołu, jako „curiosum", a wiersze jego przetrwały w starszej generacji do dziś dnia. W r. 1856 wydał on zbiór swych poezyj p. t „Bajki ulubione humorystyczne, — wydane dosłownie przez Sotera R. Rozbickiego, Pacienta filozofii ze znalezionego rękopisu u Herszka Klapibrody, dzierżawcy fabryki garnków glinianych w mieście Kocku". — Wprawdzie w przedmowie tłumaczy się, że nie jest autorem tych banialuk, tylko że je powtarza, zasłyszawszy od ludzi. Ale to tylko wykręt. Pierwsza bajeczka, bodajże najbardziej charakterystyczna, przetrwała trzy pokolenia, bo i dziś można ją usłyszeć rozmawiając na ten temat z ludźmi „przedwojennemi". Brzmi ona następująco: „Tego roku w wielkim poście, szedłem na Pragę po moście. A w tem rzeźnik świnie pędzi, umykam się ku krawędzi, przecież się jedna zbliżyła, i mnie ryjem uderzyła. — Odtąd, kto mnie skrzywdzi mową, przypomnę mu świnię ową". Przeważnie bajeczki kończą się arcydziwnym morałem, który oczywiście niema najmniejszego sensu.

Pan Rozbicki jest bodajże ostatnim z tych oryginałów, którzy swoje grafomaństwo okupują ową szczyptą soli tkwiącą w ich osobie i charakterze. Stojąc na marginesie literatury i stanowiąc „curiosa", zyskują w ten sposób odblask sławy, jakiej nie zdobyli normalną drogą!

Jan Maleszewski.



Po prawej: Jaxa-Marcinkowski wierszopis i deklamator, według akwareli Jakóba Sokołowskiego. (Ze zbiorów Bibl. Ord. hr. Krasińskich).



Spojrzenie psa.

Znacie spojrzenie psa
w miłości do pana bezmiernej —
nawet ten mały Rac
ma takie oczy wierne:

Patrzy ku górze pies —
tu mur uliczny i bruk —
tam może pan jego [illegible]
daleki, olbrzymi bóg...

Fot. Schostal, Wiedeń.

NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

MOŻE GDY WRÓCISZ...

WALC ANGIELSKI

Słowa:
WITOLDA ZECHENTERA

Muzyka:
WŁ. BUGAYSKIEGO

1). Ten ta-niec nasz, przy skro-ni skroń, i za-pach twych wło-sów i szept; — J szczupła dłoń, wszyst-ko jak sen — po- wra-ca do mnie z da-le-kich wspo-mnień.

2). Więc po-zwól mi dziś jeszcze śnić i jesz-cze pa-mię-tać tę noc; — J sły-szeć głos mi-nionych dni, — wple-cio-ny w ta-niec twój głos ko-cha-ny.

Refren.

J czem — ta noc — i czem-że jest dziś? wspomnie-niem i cie-niem i mgłą, — mo-że gdy wró-cisz, znów po-wiem ci, — żeś jest — złu-dze-niem szarych dni. — Bo czem — ta noc — i czem-że jest dziś, pu-sta, ob-ca, sa-mot-na jak błąd? — Mo-że gdy wró-cisz z da-remnych mych snów, ta-niec ten złączy nas cu-le znów! —



KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 9.

Napisał H. WILD POWIEŚĆ Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

Z pod spuszczonych powiek Mr. Koo rzucił spojrzeniem kolejno po nas — skłonił się głęboko i wysunął ręce z długich rękawów swej niebieskiej szaty. Przystąpił do młodej kobiety i dotknął jej ramienia. Ona w tej chwili zwróciła oczy z wyrazem bezbrzeżnej rozpaczy na Harcourta — i po angielsku wyrzekła głośno i z mocą:

— Zabiję się.

— Szkodaby było — zarechotał kapitan. — Taka piękna kobieta... Czy nie lepiej uszczęśliwić jeszcze niejednego ładnego chłopca? A choćby tego biednego Chińczyka, któremu tak na pani zależy... To wzruszające naprawdę...

Nie patrząc na potwora, Harcourt rzekł półgłosem:

— Proszę mi zaufać — i czekać.

Rzuciła na niego spojrzenie, którego nie potrafiłbym opisać panu i odszepnęła:

— Niech mnie pan ratuje — ratuje!... Wdzięczność moja cała — ogromna wdzięczność...

Mr. Koo skłonił się powtórnie przed kapitanem, żegnając go. Potwór protekcjonalnie zasalutował.

— Dowidzenia. A nałóż jej dobre wędzidło — radzę! — Ale, ale — cóż to? — Jakby się jej na zemdlenie zbierało...

A pani Koo usuwała się właśnie powoli na ziemię. Mr. Koo dał znak ręką — dwaj ludzie z jego orszaku podjęli ją i zaczęli znosić do łodzi, na pół przytomną. Przechyliłem się przez reling i widziałem, jak niebieskie postacie schodziły gęsiego po drabinie. Potem dał się słyszeć plusk wioseł i papierowe latarnie kołysząc się, popłynęły po wodzie.

— Chodź! — rzekł do mnie Harcourt.

Ujął mnie za ramię i począł kierować się również ku drabince.

— Cóż to — myśli pan jechać jeszcze na ląd? — zawołał za nim kapitan.

— Proszę mi dać święty spokój! — odkrzyknął ze złością Harcourt. — Albo zostawię pana na lodzie i nie zobaczy mnie pan wogóle. A pan wie, że nikt nie chce żeglować z panem...

— Proszę być przed godziną 3-cią rano na statku — warknął kapitan.

— Będę — odrzucił szorstko Harcourt.

I zeszedł po drabinie do łodzi — a ja za nim. Ujął wiosła i rzuciwszy mi drugą ich parę, wskazał na łódź Mr. Koo, znaczącą za sobą ślad na wodzie, drżącem odbiciem papierowych latarni.

— Za nimi — rzekł — i chyżo...

Nie wiedziałem, co zamierzał — lecz nie byłoby mi nigdy przyszło do głowy, stawiać jakikolwiek opór jego woli.

IX.

Wiosłowaliśmy ostro. Łódź nasza posuwała się prędzej, niż ciężki sampan Chińczyka. Minęliśmy go i wyprzedzili o jakieś sto metrów. W pewnej chwili, widząc, że zaczyna skręcać ku brzegowi, wylądowaliśmy. Harcourt przywiązał łódź do pala i ruszyliśmy piechotą w kierunku, skąd przybyliśmy. Z brzegu widzieliśmy, jak papierowe latarnie kręciły sie, wymijając dżonki — i jak dotarły wreszcie do lądu. Poczem jedna za drugą opuściły sampan i ustawiły się szeregiem na lądzie. W świetle ich zamajaczyły czarne sylwetki wychodzących z łodzi. Nie słychać było głosu młodej kobiety; prawdopodobnie nie przyszła jeszcze do siebie z omdlenia.

Ukryliśmy się za stosem starych kłód drewnianych w pobliżu. Był to, zdaje mi się zbytek ostrożności, tak było ciemno. Potem ujrzeliśmy, że na brzeg przyniesiono dwa duże, czworoboczne przedmioty; poznaliśmy, że były to lektyki. Czarne sylwetki poczęły się krzątać; zapewne składano panią Koo do jednej z nich, poczem podniesiono z ziemi lektyki. Poprzedzane kołysaniem świetlistych punktów niesionych latarń, obie znikły w ciemności.

— A teraz, my w drogę! — rzekł mój przyjaciel.

I ruszyliśmy, starając się utrzymać stale na tej samej odległości — tak, by nie stracić z oczu pochodu z latarniami, a zarazem nie zdradzić naszej obecności.

— To, co robimy, wydaje mi się całkiem niepotrzebne — odezwałem się. — Czy chcesz dowiedzieć się, gdzie mieszka Mr. Koo? Mogę przecież z łatwością zasięgnąć informacji o tem; a jeśli zajdzie potrzeba, mogę iść sam i przypatrzeć się, jak dom jego wygląda. Na cóż przyda się nam to wszystko?

Harcourt odpowiedział lakonicznie:

— Mam mój plan. Wytłomaczę ci potem.

Powiedziałem już panu: nie sprzeciwiałem się nigdy, kiedy Harcourt wyraził jakieś życzenie. Dla mnie, był to zawsze jeszcze mój przełożony, którego umysł niepośledni podziwiałem — któremu zawdzięczałem cały rozwój mej inteligencji.

Ludzie Mr. Koo obeszli miasto, nie zapuszczając się w nie. Szli ciągle brzegiem, wgórę rzeki Han-kiang. Dżonki, przywiązane u wybrzeża, odcinały się na tle nieba ciemną masą, najeżoną lasem masztów. Światła gasły powoli, w kajutach plecionych z bambusu, na ich pokładach — i cisza zalegała rzekę. Czasem tylko jeszcze rozlegało się jakieś wołanie wśród szeregu łodzi, stłoczonych przy brzegu, poza którym ciągnęła się toń, wolna od statków, niewidzialna wśród mroku.

Nagle latarnie, za któremi postępowaliśmy, skręciły w uliczkę przedmieścia. My również skierowaliśmy się za niemi. Szliśmy teraz w zupełnej ciemności; nie mieliśmy bowiem żadnego światła ze sobą. Szczęściem uliczka była wyłożona kamiennemi płytami. Zdawało mi się, że idziemy w kierunku Tchao-Tcheu, miejscowości oddalonej o jakieś 20 km. od Swatow. Minęliśmy bramy zajazdów, skupionych w tej uliczce, jak to zwykle bywa przy wejściu do chińskich

miasteczek. Potem domy stawały się coraz rzadsze — okalały je ogrody, których mury ciągnęły się jednostajnie po obu stronach drogi, zrzadka tylko przerywane bramami, prowadzącemi do domostw. Miasto przechodziło tu zwolna w wieś. Szliśmy tak dłuższy czas. Potem, w pewnym punkcie, droga skręcała znowu ku rzece. Latarnie jednak szły dalej prosto, a my, idąc za niemi, znaleźliśmy się na jakiejś bocznej drodze. Szczęściem, nie była to pora deszczowa; bo gdyby tak było, nie zdołalibyśmy wybrnąć w ciemności z tych wyboi.

Przeszedłszy mniej więcej 300 m. owej drogi, latarnie zatrzymały się. Usłyszeliśmy skrzyp otwieranej w murze bramy, za którą majaczyły ściany jakiegoś domostwa· Latarnie jedna za drugą znikły w bramie·

Czekaliśmy jeszcze dobre 10 minut, zaczajeni w ciemności — lecz brama nie otworzyła się powtórnie i nikt z niej nie wyszedł. Głęboka cisza leżała wokoło. Przerwało ją nagle ujadanie psa — i znowu zapadło milczenie. Stąpając jak najciszej, znaleźliśmy się po chwili przed bramą w murze.

Po drugiej stronie drogi ciągnął się taki sam mur z ubitej gliny; za nim również był ogród — a w głębi majaczył dach jakiegoś budynku. Prawdopodobnie była to jakaś pagoda. Ponad murem sterczały, kołysząc się, kiście bambusów na wysokich łodygach.

— Trzeba nam zapamiętać miejsce — szepnął Harcourt.

— Wszystkie bramy podobne tu są do siebie — a djablo jest ciemno! — A nacóż chcesz zapamiętać to miejsce?

Przyjaciel mój nie odpowiedział, lecz przeszedł na drugą stronę drogi; ruszyłem i ja za nim. Doszedłszy do muru naprzeciwko, Harcourt schylił się·

— Co robisz? — zapytałem·

— Znak na murze — tu w dole. — Nożem robię krzyż — pomacaj.. — Czujesz?

Skierował moją rękę i poczułem pod palcami kontury krzyża, wyrżniętego w glinie. Zpoza muru rozległo się niespokojne ujadanie psa.

— Uciekajmy — prędko! — szepnąłem.

I puściliśmy się w kierunku, skąd przyszliśmy. Po chwili Harcourt skręcił na prawo. Szedłem za nim, nie rozumiejąc, dokąd zdąża. Potykaliśmy się co krok na wybojach. W pewnem miejscu wpadłem na porzucony na drodze wóz — i o mało nie połamałem na nim kości· Uszliśmy tak dobre 300 kroków, kiedy ukazała się przed nami otwarta przestrzeń. Poczułem chłodny powiew i usłyszałem plusk wody.

— To zachodnie ramię Han-Kiangu — rzekł Harcourt. — Przypuszczałem, że idąc w tym kierunku, wpadniemy na nie. To doskonale! Wrócimy na okręt tędy.

— To nie bardzo bezpiecznie — zwróciłem mu uwagę. Jesteśmy w Kwan-Tungu... Łatwo tu o spotkanie z łotrzykami nad rzeką· Pchną nas do wody i będzie po wszystkiem·

— Czy masz przy sobie rewolwer? — zapytał· — Tak. To dobrze! Ja mam także. Choć o tej godzinie, niema psa żywego pod miastem. — Powiedz mi, jak daleko stąd znajduje się Fai-tsi-long?

Odrzekłem, że mniej więcej o 5 km. wdół rzeki.

— Zgadza się to z mojemi obliczeniami — mruknął.

Szliśmy teraz, kierując się słabym blaskiem łuny, którą Swatow swemi światłami rzucało na niebo.

— Mając dobrych wioślarzy — korzystając z przypływu, przebędzie się prędko tę drogę — przerwał Harcourt po chwili milczenie.

— Co?! — zapytałem zdumiony· — Chcesz więc porwać ją, naprawdę?

— Oczywiście!

Możnaby przysiąc· że mówił o rzeczy najprostszej w świecie. Przez chwilę zdumienie odebrało mi mowę.

— Harcourt — odezwałem się wreszcie z wahaniem — ty ją kochasz?...

— Tak — odparł·

— Nie traciłeś czasu! — rzekłem z lekką ironją.

I widzi pan, jaka to niesprawiedliwość tkwi w człowieku! Dzisiaj zdaje mi się, że w owej chwili sam nie byłem daleki od zakochania się w niej... Niesprawiedliwość — a może było też trochę zazdrości z mej strony?... Ale wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy i to usprawiedliwia mnie w części... Harcourt zaś mówił dalej:

— Położenie jej jest okropne i nad wszelki wyraz haniebne! Nie mogę jej tak zostawić· To byłoby zbrodnią — zbrodnią poprostu! Nawet, gdyby była mi obojętną... Zresztą, dałem jej słowo — zobowiązałem się...

— Nie bardzo widzę, w jaki sposób zabierzesz się do tego... — mruknąłem. — A w każdym razie ściągniesz sobie na głowę przykrą historję.

— A gdyby nawet tak było — przerwał mi gorąco — nie zawahałbym się! — Ale to jest o wiele prostsze, niż myślisz.

W tem miejscu zapytałem go tonem, który starałem się uczynić swobodnym:

— A cóż zamierzasz uczynić z nią potem?

— Z kim?

— Z panią Koo.

— Ożenię się z nią. — Oto mój plan. Kiedy będziemy tu znowu, wracając z Fou-tcheu, będę miał ze sobą pół tuzina drabów, których mi dostarczy jeden z moich przyjaciół, Chińczyk z Południa... Będą to niezłe zuchy — na wpół piraci, jak po większej części wszyscy, którzy należą do formacyj wojskowych, czy to północnych, czy to południowych Chin. Po nocy napadniemy na dom — porwie się panią Koo — przeniesie do łodzi i przewiezie rzeką na okręt. A potem, w świat!

Uważałem to za krańcowe szaleństwo — żżymałem się na myśl o niem. A może oponowałem tak zajadle z powodu, o którym wspomniałem wyżej...

— Piękne masz znajomości! — rzekłem.

Nie zwrócił na to uwagi i wykładał dalej swój plan — tak, jakby opowiadał o zamierzonej wycieczce. Przerażał mnie jego upór. Z niewzruszonym spokojem zbijał moje objekcje, jedną po drugiej.

— A kapitan? — zapytałem. — Powtórzy się znowu to, co stało się dzisiaj...

— Nie. Postaram się wprowadzić ją na okręt, tak, że jej nie ujrzą. A jeśliby ją zobaczył...

Umilkł i po chwili dopiero skończył...

— Będzie i tak musiał przyjąć ją na statek — zmuszę go do tego!

— Z pomocą twych zuchów z Południa?

— A tak.

— A jeśli Mr. Koo zjawi się znów na statku po nią?

— Bądź spokojny! — zaśmiał się — Nim dowie się o uprowadzeniu, będziemy już daleko, na pełnem morzu!

Okrążywszy miasto, którego bramy były zamknięte o tej porze, znaleźliśmy się przy naszej łodzi. Harcourt spokojnie odwiązywał ją. Byłem wściekły na niego; ale że była już pierwsza po północy, odezwałem się:

— Zostanę z tobą, aż do twego odjazdu.

Bo mimo całej złości na niego, nie chciałem rozłączać się z nim. Kiedy znaleźliśmy się znów na Fai-tsi-longu, spytałem raz jeszcze.

— Naprawdę — chcesz ważyć się na to?

Odparł, że nie myśli już dyskutować o tem wogóle i dodał:

— A ty pojedziesz wtedy ze mną. Zobaczysz — doczekamy się ciekawych czasów i znacznych korzyści, kiedy nowy rząd republiki umocni się i żywioły rozumne będą grały pierwsze skrzypce w Chinach!

Łudził się, kiedy to mówił; upłynęło już kilka lat — a widzi pan, w jak okropnej anarchji toną do dziś dnia Chiny.

— A przez ten czas, kiedy mnie tu nie będzie — idź jeszcze raz przed dom Chińczyka; obeznaj się dokładnie za dnia z okolicą. Może nam to być bardzo użyteczne w decydującym momencie. Każ się ponieść w lektyce — niby na spacer — albo przejedź się konno tamtędy. Ale staraj się nie zwracać niczem uwagi na siebie.

Skończyło się tem, że mu przyrzekłem, iż zrobię, jak kazał. Bo czyż byłem w stanie odmówić mu czegokolwiek? Nabił sobie głowę tem porwaniem i wiedziałem, że nie odwiodę go od niego — a poza tem kochał już tę kobietę, jak warjat. A kiedy człowiek, w rodzaju Harcourta zakocha się — to śmierć nawet nie odwiedzie go od tej miłości! Zresztą, gdyby jej nawet nie kochał — to i tak niewątpliwie byłby próbował ratować ją. Myślę, że ja próbowałbym tak samo — lecz nie byłbym się ważył na to — co on zamierzał. Nie miałem jego śmiałości — i pewnie nie byłbym doszedł do żadnych rezultatów...

O 5-tej rano Fai-tsi-long ruszył w drogę. Stojąc na brzegu, patrzyłem jak malał w rodzącym się brzasku. I pytałem się siebie, jak też porucznik marynarki wojskowej Harcourt był w stanie wyżyć w tem pływającem piekle — pod rozkazami takiego czarta, jak ówczesny kapitan Fai-tsi-longu...

(Ciąg dalszy nastąpi).

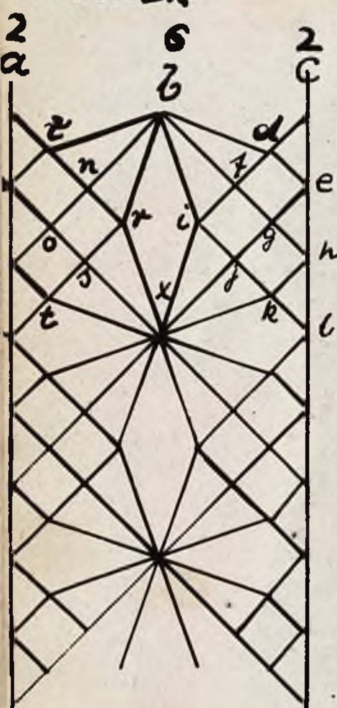
SWAWOLNA GWIAZDA.
Florine Mc Kinney, jedna z najmłodszych artystek srebrnego ekranu.



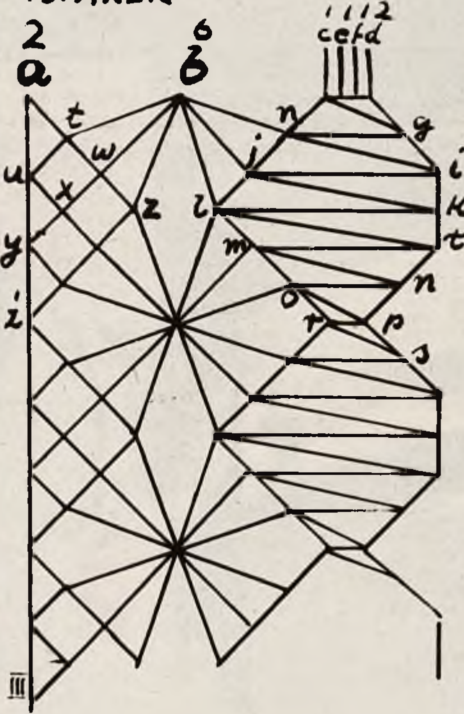
M. M. DUDREWICZOWA

KORONKI KLOCKOWE

VII









Od lewej: I. Schemat A — wstawka z pajączkiem na sześć parek, wykonana z 10-ciu parek. II. Wstawka z pajączkiem na sześć parek, wyk. z 10-ciu par. III. Schemat B — koronka z pajączkiem na sześć parek z ząbkami płócienkowemi, wykonana z 13-tu parek. IV. Koronka z pajączkiem na sześć parek z ząbkami płócienkowemi, wyk. z 13-tu parek.

Pajączki na 6 parek we wstaweczce z 10-ciu par.

Do wstaweczki z pajączkiem na 6 par, jak schemat A, potrzebujemy 10 par klocków. Zawieszamy po 2 parki w punktach a-c, oraz 6 parek w punkcie — b.

Zaczynamy wstaweczkę od drugiej połowy pajączka. Składa się on w robocie z 6-ciu rzędów. Tutaj robimy więc tylko 3 rzędy. Zaczynamy od punktu —b.

Zaczynamy wstaweczkę od drugiej połowy pajączka. Składa się on w robocie z 6-ciu rzędów. Tutaj robimy więc tylko 3 rzędy. Zaczynamy od punktu —b, przerabiając dwie środkowe parki. Wpinamy pomiędzy nie nadprogramową szpilkę, najlepiej w punkcie środkowym następnego pajączka. Mamy po obu stronach tej szpilki po 3 parki. Teraz przerabiamy od środka na prawo wszystkie 3 wiszące parki, wyrównując je i odpinając ostatnią skrajną parkę na prawo.

Po lewej stronie przerabiamy tak samo: od środka na lewo klockujemy i skrajną parkę odpinamy na bok.

Następny rząd zaczynamy też od środka. Chwilowo wyjmuje się nadprogramową szpilkę, aby przerobić dwie środkowe parki. Szpilkę wpina się znowu w to samo miejsce, by się parki z prawej i lewej strony nie mieszały. Pozostają po obu stronach po dwie parki. Przerabiamy je z prawej strony i odpinamy skrajną parkę na bok. To samo z lewej strony i znów skrajna parka odchodzi na bok.

Klockujemy rząd 3-ci. Mamy już teraz tylko dwie środkowe parki. Przerabiamy je, wyjmując nadprogramową szpilkę. Odpinamy teraz odłożone na bok parki, stanowiące nóżki pajączka. Mamy ich po 3 z każdej strony. Wyciągamy je na boki i wyrównujemy zrobioną połówkę pajączka.

Z lewej strony odpinamy 3 parki jedną szpilką na bok a parki z prawej strony pozostawiamy wiszące, przygotowane do roboty dziurek. Wszystkie parki, które odchodzą od pajączka, czyli jego nóżki, przekręcamy zawsze 4 razy.

Teraz przystępujemy do roboty dziurek. Pierwsza parka od pajączka z prawej strony i lewa parka z punktu —c stworzą punkt —d. Parki z punktów d—c stworzą punkt —e.

Druga nóżka pajączka z parką z punktu —d stworzy punkt —f. Parki z punktów f—e dają punkt —g, następnie parki z punktu g—e stworzą —h. Trzecia nóżka i trzeci rząd zejdzie także skośnie z punktu —i przez punkty j—k do brzegu w punkcie —l.

Tak samo klockujemy dziurki z lewej strony wstaweczki.

Gdy już dziurki po bu brzegach skończone, mamy przygotowane po obu stronach po 3 parki, czyli razem 6x, do roboty następującego całego pajączka. Wychodzą one z punktów i—j—k, oraz r—s—t.

P i e r w s z y r z ą d p a j ą c z k a: parki z punktów r—i kręci się po 4 razy, przerabia się i wbija szpilkę w punkt —x. Mamy tak po obu stronach szpilki po jednej wiszącej parce. Z prawej strony do parki, przerobionej w pajączku, dobieramy parkę z punktu —j, kręcimy ją cztery razy i przerabiamy. Pozostawiamy lewą parkę wiszącą a do prawej dobieramy cztery razy przekręconą parkę z punktu —k. Przerabiamy je, wyciągając następnie dokładnie prawą parkę w prawej ręce w bok, a lewą ręką wyciągamy równocześnie obie pozostałe parki w dół. Prawą parkę odpinamy na bok a dwie pozostałe wiszą po prawej stronie szpilki.

Analogicznie do prawej strony przerabiamy stronę lewą pajączka, zaczynając od środkowej parki przy szpilce z lewej strony. Bierzemy ją do prawej ręki przerabiamy z przekręconą 4 razy parką z punktu —s. Prawa parka pozostaje wisząca przy szpilce a do lewej dobieramy 4 razy przekręconą parkę z punktu —t i obie przerabiamy. Lewą ręką wyciągamy parkę przerabiającą w bok a prawą dwie parki wiszące wyciągamy w dół. Skrajną parkę z lewej ręki odpinamy na bok poduszki.

T r z e c i r z ą d p a j ą c z k a: Teraz mamy w środku przy szpilce tylko dwie wiszące parki po jednej i drugiej stronie nadprogramowej szpilki. Chwilowo ją wyjmujemy i przerabiamy parki, wbijając z powrotem szpilkę nadprogramową w jej miejsce. Następnie odpinamy wiszące po obu stronach parki i bierzemy razem do obu rąk po trzy parki, wyciągając je w obie strony w bok. Wyjmujemy do tego nadprogramową szpilkę a także szpilkę ze środka pajączka z punktu —x. Mamy zrobioną w ten sposób połowę pajączka. Wbijamy szpilkę w środek pomiędzy te 6 par w punkcie —x.

Klockując drugą połowę pajączka nie kręcimy już parek a tylko przerabiamy gładkie płócienko.

(Dokończenie na str. 30-tej).

Poniżej: Kwadracik klockowy, wykonany techniką Idrja, wedle projektu uczenicy Szkoły Przemysłowej w Łodzi.





Powyżej: Koronka klockowa z narożnikiem.



Po lewej: Motyw klockowy, wykonany techniką „duchesse".

ŻYCIE

TOWARZYSKIE i ARTYSTYCZNE

KRAKÓW STAJE SIĘ DRUGIM SALZBURGIEM



Potrzeba było występu wielkiego mistrza śpiewu Jana Kiepury na zamkowym podworcu Wawelu, by zapoczątkować serję festivalów wawelskich, które zdobyły przebojem serca słuchaczy. Ostatnio odbył się drugi zrzędu festival, przyczem po raz pierwszy w Polsce koncert, oparty był na motywach podhalańskich „Harnasiów" Karola Szymanowskiego. Orkiestra Polskiego Radja, pod batutą wybitnego kapelmistrza p. Grzegorza Fitelberga, wraz z chórem krakowskim, pod kierown. dyr. chóru p. Adama Kopycińskiego, stworzyła wspaniałą muzyczną całość. Na zdjęciu fragment festivalu, po lewej dyrygent p. G. Fitelberg.

Fot. „AS".

ŚLUB ZIEMIAŃSKI W KRAKOWIE



Ostatnio odbył się w Katedrze na Wawelu ślub p. Adama Konopki z Modlnicy z p. Hanną Teresą Gordziałkowską z Wielkopolski. Wśród gości weselnych reprezentowane były rodziny Konopków, Gordziałkowskich, Bnińskich, Drużbackich, Żeleńskich, Madeyskich i t. d. Ślubu udzielił O. Anioł, Kapucyn. Uroczystość ślubna odbiła się żywem echem w szerokich sferach ziemiaństwa małopolskiego. Na zdjęciu widzimy młodą parę.

SIOSTRZENICA PREZYDENTA CZECHOSŁOWACJI AKTORKĄ FILMOWĄ



Na widownię srebrnego ekranu wypłynęła nowa, dobrze zapowiadająca się gwiazdka w osobie 20-letniej siostrzenicy prez. Rep. czechosłowackiej Benesza, p. Karla Olic. Zadebiutowała ona w czeskim filmie „Stefanik".

Wide-World Photos, London.

SUKCESY ORDONKI W „CYRULIKU WARSZAWSKIM"



Znana artystka kabaretowa Hanka Ordonówna występuje obecnie w teatrzyku „Cyrulika Warszawskiego" w rewji „Frontem do radości", posiadającej dużo walorów literackich i dekoracyjnych. Na zdjęciu naszem widzimy jedną scenę rewji p. t. „Cariocca" z Hanką Ordonówną i Konradem Ostrowskim.

Fot. St. Brzozowski, Warszawa.

WĄŻ I KOBIETA

Jeżeli wąż swem postępowaniem w raju przyczynił ludzkości wiele kłopotów, to z drugiej strony ludzie odwdzięczyli mu się z nawiązką, tępiąc go po dżunglach i wypychając to groźne i piękne stworzenie, a nawet posługując się jego skórą przy fabrykacji bucików, czy torebek damskich. Z chwilą, gdy uda się zabić takiego węża — bardzo „lubianym" gatunkiem jest boa dusiciel (boa constriotor), — wysyła się jego skórę, odpowiednio zwiniętą, do muzeów zoologicznych, gdzie spoczywa ona nieraz miesiącami, zanim nastąpi jej wypchanie. Nie jest to rzeczą łatwą: należy zbadać ilość łusek, stwierdzić gatunek węża, a przedewszystkiem przy wypchaniu trzeba nadać wężowi taki ruch, jaki naprawdę miał za życia.



Powyżej: Badanie ruchów i muskulatury węża w Ogrodzie Zoologicznym.

Na prawo: Przygotowywanie skóry wężowej do farbowania.

Dla tych też względów kierownik oddziału preparacyjnego muzeum udaje się do ogrodu zoologicznego, by tam badać życie węży. Zbadanie pierwotnej długości węża jest również rzeczą trudną, gdyż przy wyprawianiu skóry wydłuża się ona znacznie. Następnym etapem przygotowywania skóry wężowej jest „bajcowanie" jej, przyczem staje się ona elastyczną i nakłada się ją na rodzaj „sztelażu". Potem dopiero odbywa się kolorowanie skóry i lakierowanie, gdyż straciła ona w międzyczasie swoje kolory i połysk. Zwłaszcza kolorowanie jest rzeczą trudną: trwało ono w jednem z muzeów przy skórze pytona „reticulatus" dwa i pół miesiąca.

O ile z jednej strony węże wypchane spełniają nieraz rolę dydaktyczną, informując młodzież szkolną, lub też gości muzeów o faunie dalekich dżungli, o tyle z drugiej strony stają się one ozdobą pięknej kobiety i... przekleństwem jej męża, lub osoby, pokrywającej wydatki pięknej towarzyszki! Bo węże są drogie, nieraz bardzo drogie, co zresztą tłumaczy się trudami, z któremi połączone jest jego spreparowanie, a poprzednio jeszcze „złowienie" ofiary.





Powyżej: Obliczanie długości i badanie gatunku skór wężowych przed spreparowaniem.

W kole: Zapomocą specjalnej lupy stwierdza się ilość łusek i gatunek skóry.

Wszystkie zdjęcia Illustrated Press — Bukareszt.

Jeżeli przy preparowaniu skóry wężowej specjaliści posługiwać się muszą lupą, obliczać ilość łusek, badać gatunek węża i rekonstruować jego ruchy za życia, to znowu przy użyciu skóry na wyroby damskie, trzeba wziąć pod uwagę nietylko modę panującą w danym czasie, ale również tworzyć estetyczne koncepcje tych wyrobów, dobierać, np. do torebek damskich, odpowiednie zamknięcia, okucia itd.

W samym fakcie, że ze skóry groźnego dla człowieka węża sporządza się przedmioty, stanowiące w dużej mierze o uroku i wyglądzie pięknej kobiety, znajduje się jakiś dziwny paradoks. Nie chciałbym go wytłumaczyć faktem, że nieraz najpiękniejszą kobietę otoczenie nazywa... żmiją, lecz, sięgając w czasy dość odległe, bo do epoki biblijnej, narzuca się myśl, że jest to częściowe wyrównanie porachunków między prawnuczkami Ewy, a potomkami złośliwego węża rajskiego, który tyle sprowadził na świat kataklizmów. Tak, czy owak przyznać trzeba, że porachunki te zostały załatwione na niekorzyść wijącego się w tysiącznych skrętach i lśniącego pięknemi kolorami mieszkańca dżungli. Zachodzi tutaj pewnego rodzaju paradoks życiowy: węże potrzebne są dla nauki, tak jak potrzebne są również antylopy, lwy, czy inne zwierzęta pustyni i puszczy. Ale, jeżeli tępienie węży pójdzie tem tempem, co dotychczas, to za lat kilkanaście może zabraknąć tych pięknych mieszkańców krajów tropikalnych i wtedy uczeni będą musieli zadawalniać się jego „wizerunkiem" w książkach naukowych. — Wszak oni sami przyczynią się do jego zagłady! Najzupełniej bezbronny, popada wąż w niewolę kobiety w jej pachnącym buduarze, lub też pokutuje za szybą w jakiejś gablotce muzealnej. Staje się objektem pożądań uczonych zoologów, lub też... najlepszej przyjaciółki, która nie posiada jeszcze torebki czy bucików z wężowej skóry! J



Pani może być piękną i młodą jeżeli...

Wywiad VIRGINJI VINCENT



Ukazał się naprzód wielki tuman kurzu, z którego po chwili dopiero wyłoniła się Janet Gaynor, ubrana w breechesy do konnej jazdy i melonik. Zmęczona opadła po zejściu z konia na fotel, stjący w ogrodzie. Wszystko to nie działo się „prywatnie", lecz przed kamerą kinooperatora, robiącego zdjęcia do jednego z filmów gwiazdy. Odrzuciwszy kapelusz, urocza Janet na chwilę przestała być artystką, chcąc zyskać dla siebie chwilę wypoczynku.

Chwila nie zdawała się być zbyt odpowiednią do przeprowadzenia interviewu, jako że nawet gwiazda filmowa, a może właśnie ona potrzebuje trochę spokoju i nie chce być ciągle objektem zainteresowania publiczności.

Ale co robić?

— Co uważa pani za najważniejsze celem zapewnienia kobiecie urody i młodości? — rzuca pani Virginia Vincent pierwsze pytanie, spoglądając na Janet i obserwując wyraz jej twarzy.

Miss Gaynor wstaje ze swego fotela, spogląda swemi pięknemi dużemi oczami i uśmiecha się do gościa.

— Dobry nastrój u kobiety starczy mojem zdaniem za urok, a nawet może za piękność. Pogodne „nastawienie" do życia zależy przedewszystkiem od zdrowia, a zdrowie znowu opiera się na mądrem połączeniu pracy, wypoczynku, ćwiczeń gimnastycznych i pożywienia.

Uroczy terrier szkocki łasi się przy nóżkach Janet Gaynor, tkwiących w wysokich butach do konnej jazdy.

Miss Gaynor uważa pływanie i tenis za najbardziej zdrowe sporty, to też uprawie je z zapałem. — Są kobiety, którym wykonywanie zajęć domowych daje to ćwiczenie cielesne. Gotowanie, czyszczenie i pranie są wysoce kobiecemi zajęciami, ale przyznam się, że osobiście nie lubię ich zbytnio. Skoro jednak kobieta wykonywuje te czynności należy się jej po nich bezwzględnie wypoczynek, albo też przejście do innego zajęcia, któreby dało jej rozrywkę. Smutne nastroje pochodzą mojem zdaniem z myśli, których przy dobrej woli możemy się pozbyć. Również przepracowanie musi odbić się na naszem usposobieniu a odbija się również na naszych nerwach, doprowadzając je do „punktu wrzenia".

— Ale czy nastrój może stać się częścią zewnętrznego wyglądu — pyta pani Virginia Vincent uroczej gwiazdy.

— Oczywiście — odpowiada z przekonaniem Janet Gaynor, otwierając parasolkę, którą zakrywa się przed prażącem słońcem. Tyle przecież kobieł posiada piękne oczy a mimo to pozbawione tego, co Francuz tak szczęśliwie nazywa „joie de vivre". Oczy powinny się nietylko śmiać, ale również być żywe, poprostu tańczyć, żeby się tak wyrazić obrazowo i wtedy dopiero robią odpowiednie wrażenie na otoczeniu. Czy pani nie widziała kobiet i dziewcząt o pięknych twarzach, których usta jednak ściśnięte i o opuszczonych kącikach wskazywały na konieczność wypoczynku i robiły ponure wrażenie? Nawet najpiękniejszy nos w sąsiedztwie takich ust dużo traci. Spotykałam już kobiety, które nie uśmiechając się przez dłuższy czas przybrały wręcz tragiczny i brzydki wyraz twarzy.

— Każdy człowiek posiada oczywiście swój własny sposób stwarzania sobie dobrego nastroju. Ja osobiście mogę tylko podać mój program życiowy, dający mi ten optymizm. — Spojrzała się w lusterko, gdy zjawił się „człowiek z kamerą" i oświadczył, że będzie musiał zrobić jeszcze jedno zdjęcie.

— Proszę, niech pan zaczyna — odparła Janet Gaynor, gwiazda, która niczem się nie przejmuje i nie traci dobrego humoru, nawet wtedy, kiedy inne szaleją ze złości!

Z gwiazdą filmową *Janet Gaynor*

(Dokończenie ze str. 26-tej).

Czwarty rząd pajączka: przerabiamy dwie środkowe parki i rozdzielamy je nadprogramową szpilką, którą wbijamy w środek następnego pajączka. Po obu jej stronach wiszą po 3 parki. Przerabiamy je z prawej strony od środka na zewnątrz, odpinając skrajną parkę w bok na prawo. To samo robimy od środka na lewo, przerabiając gładkie płócienko i odpinając skrajną parkę w bok na lewą stronę poduszki.

Piąty rząd pajączka: wyjmuje się na chwilę nadprogramową szpilkę i przerabia dwie środkowe parki, wpinając szpilkę zpowrotem. Z prawej jej strony pozostało nam dwie parki, przerabiamy je i odpinamy skrajną w bok. Po lewej stronie jest też dwie parki, które przerabiamy podobnie i odpinamy skrajną parkę w bok.

Szósty rząd pajączka: Pozostały teraz już tylko dwie parki po obu bokach nadprogramowej szpilki. Wyjmuje się ją i parki przerabia. Pajączek gotowy.

Wyjmuje się teraz szpilki podpinające cztery pary pajączka po obu bokach poduszki. (Szpilki z punktu —x już nie wyjmujemy wcale). Bierzemy teraz do rąk po 3 pary z każdej strony pajączka i wyrównujemy go, wyciągając parki w bok, ale nie za silnie, aby zanadto nie zwęzić pajączka.

Teraz 3 parki z lewej strony odpinamy dużą szpilką na bok a z prawej strony parki pozostają wiszące. Odchodzić one będą do roboty dziurek, które klockujemy od góry po trzech skośnych linjach w bok ku brzegowi wstaweczki. Gdy dziurki z prawej strony gotowe, powtarzamy robotę dziurek z lewej strony. Nóżki pajączka kręcimy stale po cztery razy, a parki tworzące dziurki po dwa razy.

Pajączki na 6 par w koroneczce z 13-tu par.

Schemat B przedstawia koroneczkę z ząbkiem, który można wykonać płócienkiem, albo siekanką. W punktach a—d zawieszamy po 2 parki, w punktach c—e—f po jednej parce, w punkcie —b dajemy 6 parek na pajączek. Zaczynamy go od połowy, jak przy poprzedniej wstaweczce. Po zrobieniu tego odkładamy 8 parki na prawo do roboty ząbka, a 3 parki na lewo do roboty dziurek.

Najpierw robimy dziurki z lewej strony. Prawa parka z punktu —a, oraz pierwsza nóżka pajączka od góry tworzą punkt —t. Parki z punktów a—t dają punkt —u. Pierwszą nóżką zeszliśmy do brzegu. Teraz schodzimy drugą nóżką poprzez punkty w—x—y. Trzecia nóżka stworzy linję skośną z—ź. Dziurki gotowe.

Klockujemy ząbek, zaczynając od punktu —d, gdzie wiszą dwie parki. Przerabia się je na gładkie płócienko (lub siekankę), posuwając się na lewo do punktu —c. Tutaj wbija się szpilkę tuż obok szpilki tam się znajdującej i wracamy, klockując, do punktu —g. (Przed punktami g—i—k—l—n robimy mereżkę). Z punktu —g przechodzimy na lewo do —h, gdzie dochodzi pierwsza nóżka pajączka, kręcona 4 razy. Od —h przechodzimy do —i, potem na lewo do —j, gdzie przerabiamy drugą nóżkę, dalej na prawo do —k i znów na lewo do —l, gdzie dochodzi trzecia nóżka pajączka. Idąc zpowrotem od połowy pajączka odpinamy w każdym punkcie z lewej strony po jednej parce do roboty następnego pajączka, a to z punktów l—m—o.

W punkcie —r nie zostawia się żadnej parki tylko klockuje dalej do punktu —s. W tym punkcie zaczyna się mereżka i dalszy ząbek.

Pomiędzy punktami r—p jest bardzo ciasno i dlatego należy klockować uważnie i ściągać dobrze wiszące parki w dół a przerabiającą parkę silnie w bok. Punkt —s dobrze jest oznaczyć kolorową szpilką dla uwypuklenia, że stąd zaczyna się nowy ząbek.

W dalszym ciągu roboty pozostawiamy stronę prawą, robimy pajączek, dalej dziurki z lewej strony i dopiero powracamy znów do kolorowej szpilki, od której rozpoczynamy następny ząbek.

(C. d. n.)

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA OWOCOWA Z MIESZANYCH OWOCÓW. Owoce zestawić można wedle upodobania np. jabłka, gruszki, morele, lub maliny, wiśnie. Wszystkie owoce opłókać, obrać z łupki i pestek, pokrajać, nalać odpowiednią ilością wody i rozgotować; poczem przetrzeć przez sito włosiane, przelewając wodą, w której się gotowały. postawić znów na ogniu i zaprawić szklanką śmietany rozbitą z żółtkiem lub łyżeczką mąki. Można ją też w miejsce śmietany podbić łyżeczką mąki ziemniaczanej, rozbitej w paru łyżkach wody. Może być podana na zimno lub gorąco z grzaneczkami z słodkiej bułki.

SPAGHETTI Z POMIDORAMI. 25 dkg spaghetti gotuje się, następnie przelewa ciepłą i zimną wodą, aby nie były śliskie, dodaje sporą łyżkę masła, albo 5 dkg młodej, wysmażonej słoninki, miesza i układa na spodzie dość dużej rynki, tak, aby naczynie było tylko do połowy wypełnione. Z kilku dużych pomidorów ścina się wierzchołki, wydrąża i ustawia w makaronie, robiąc w nim łyżką zagłębienia, aby pomidory równo stały. Do każdego pomidora wbija się świeże jajko, posypuje solą i pieprzem, kropi masłem i przykrywa odciętym wierzchołkiem. Całą potrawę posypuje się parmezanem, zmieszanym pół na pół z tartą bułką, polewa masłem i wstawia na 15 minut do gorącego piecyka. Osobno podaje się gęsty sos pomidorowy.

KOPER SOLONY. Obrać młode gałązki (same piórka) kopru i nie płócząc układać w słoiku, przesypując solą i ubijając lekko drewnianą łyżką. Pełny słoik owiązuje się pergaminem i przechowuje sucho i w chłodzie. Przed użyciem należy go dobrze opłókać z soli w zimnej wodzie. Koper taki zachowuje świeżość, aromat i kolor. Zaleca się przygotowanie na zimę tej bardzo w kuchni potrzebnej konserwy.

FASOLKA SZPARAGOWA W KONSERWIE. Świeżo zebraną młodą fasolkę obciągnąć z bocznych nitek, obciąć końce i gotować w lekko osolonej wodzie przez 15 minut. Odcedzoną z wody przelać na sicie gotowaną wodą ostudzoną i dobrze osączoną układać w słoju w całości lub pokrajaną. Następnie zalewa się jarzynę wodą gotowaną lekko tylko osoloną, zamyka słoiki szczelnie lub równie szczelnie owiązuje pergaminem. wstawia owinięte sianem lub papierem do baniaczka. nalewa do połowy wysokości słoików zimną wodą i stawia na ogień. Gotuje się licząc od chwili zagotowania 15 minut. Słoiki zostawia się aż do ostudzenia w aparacie.

W podobny sposób robi się konserwy z każdej innej jarzyny. O ile słoje będą szczelnie zamknięte, konserwy przechowują się nie psując się przez zimę.

PUREE Z KALAFIORÓW. Z mniej okazałych kalafiorów sporządzić można smaczne puree jako dodatek do kotletów lub pieczeni cielęcej. Ugotowane i osączone z wody kalafiory ugniata się w misce i fasuje przez sito, dodaje łyżkę masła, szczyptę soli i cukru oraz parę łyżek słodkiej śmietanki z którą się puree rozciera na gładką niezbyt wolną masę. Łyżką maczaną w maśle wykłada się puree na półmisek i polewa rumianem masłem lub sosem z pod pieczeni.

Szyc-Korska.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

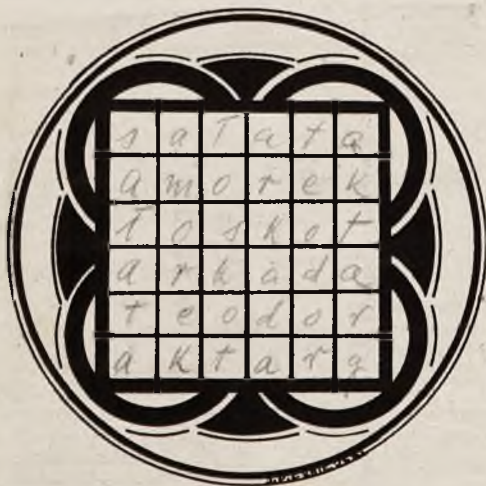
Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzymsko-kat.	Tydzień 31 **Lipiec** Dni 31
Niedziela **26** Anny	Zupa rakowa z ryżem. Paszteciki z móżdżków w naleśnikach. Rulada z kaczki z krokietami ziemniaczanemi i ogórkami. Lody malinowe z waflami. <u>Kolacja:</u> Zimny rozbef z sałatą.
Poniedziałek **27** Natalji	Zupa ragout z drobiu. Surówka z jarzyn. Spaghetti z pomidorami. Wątróbka cielęca po wiedeńsku z ryżem. Galaretka morelowa. <u>Kolacja:</u> Grzybki duszone z śmietaną.
Wtorek **28** Inocentego p.	Rosół "Julienne" z grzybkiem. Sztuka mięsa z mizerją. Kurczęta pieczone z sałatą i jałatka owocowa. Kompot z wiśni i moreli lub sa- <u>Kolacja:</u> Fasolka szparagowa i kalafior.
Środa **29** Marty	Zupa owocowa zimna. Omlet z grzybkami. Młoda gąska z kapustą parzoną i ziemniaczkami. Kruchy placek z morelami. <u>Kolacja:</u> Jaja w sosie szczawiowym.
Czwartek **30** Abdona i Senny	Zupa ziemniaczana. Marchewka z grzankami. Kotlety baranie z sosem "Soubise". Strudel z borówkami. <u>Kolacja:</u> Szpinak z jajami.
Piątek **31** Ignacego Lojoli	Zupa kalafiorowa z grzankami. Ziemniaczki faszerowane grzybkami. Karasie smażone z sałatą. Pierożki drożdżowe z morelami. <u>Kolacja:</u> Kasza tatarczana z kefirem.
Sobota **1** Piotra w Okow.	**Sierpień** Dni 31 Zupa pieczarkowa z tartem ciastem. Kapusta włoska smażona w cieście. Kuropatwy z sałatą. Kisiel malinowy. <u>Kolacja:</u> Pierożki z słodką kapustą.

HOCKI-KLOCKI

ZAGADKA LITEROWA.

Ul. J. Piękniewski — Łódź.



W kwadraty należy wpisać w linjach poziomych poniżej podane słowa, przyczem czytając rzędami z góry na dół otrzymamy te same słowa, co czytając rzędami poziomo. Znaczenie słów jest następujące:

potrawa jaroszów,
zdrobniałe imię bożka miłości,
inaczej huk, hałas,
inaczej filar, kolumna,
imię męskie,
łatwa zdobycz żart. (wspak).

Rozwiązania z N-ru 29-go.

NIEDROGI ZEGAREK.

Ponieważ ilość obrotów śrubki jest proporcjonalna do czasu, jaki upływa między nakręceniami, więc dzienny okres chodu zegarka wynosi $^3/_2$ okresu nocnego.

Z tego wynika, że między godziną 7.30 rano a chwilą wieczornego nakręcania zegarka upływa $^3/_5$ doby, czyli 14 $^2/_5$ godziny, a więc pan Ptaszek kładzie się o godzinie 9.54 wieczorem.

HODOWLA DROBIU.

W klatkach parzystych było: 2 — 10 kur, 4 — 14, 6 — 20, 8 — 28, 10 — 38, razem 110 kur; w nieparzystych: 1 — 10, 3 — 13, 5 — 18, 7 — 25, 9 — 34, razem 100 kaczek. Drobiu więc było ogółem 210 sztuk w dziesięciu klatkach.

KŁOPOTLIWY ZAPIS.

Wobec śmierci Walentego powinni panowie Teofil i Wincenty podzielić między sobą 100 włók w stosunku jednej trzeciej do jednej czwartej, w myśl woli ojca .W wyniku takiego podziału Teofil dostanie 57 1/7 włóki, Wincenty 42 6/7 włóki (cztery siódme i trzy siódme majątku).

PIĘĆ KART.

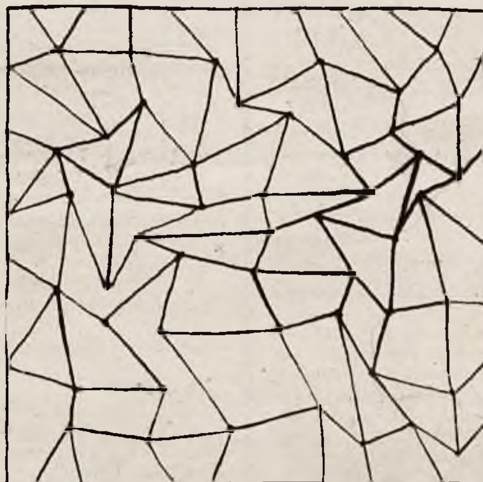
Poszukiwanym układem kart jest 39157 lub 57139. W obu wypadkach iloczyn dwóch par 39 i 57, mniej 1, daje 2222.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

GUZIK W BUTELCE.

W butelce wisi uwiązany na nitce guzik. Butelka jest szczelnie zakorkowana. W jaki sposób można przeciąć nitkę, aby guzik spadł, nie otwierając butelki, ani jej nie tłukąc?

SIEĆ RYBACKA.



Rysunek przedstawia część długiej nieregularnie wiązanej sieci rybackiej. Zadanie polega na tem, aby w możliwie najmniejszej ilości cięć od góry do dołu rozciąć sieć na dwie części. W których miejscach należy rozciąć sznury? Węzłów rozcinać nie można.

KOLIGACJE

Panieńskie nazwisko mojej matki jest Czosnek. Kuzyn mój nazywa się Buraczek. Panieńskie nazwisko mojej babki było Ogórek, a brat jej teścia nazywał się Marchewka.

Jak ja się nazywam?

ZAWODY I WOZY.

Pięciu przyjaciół jest fabrykantami samochodów. Każdy z nich ma jednego syna, który posiada wóz, pochodzący z warsztatów jednego z przyjaciół ojca i który obrał sobie zawód, odpowiadający jednemu z pięciu nazwisk, lecz nie własnemu.

Ten z synów, który jest stolarzem, ma wóz wyrobu Stolarskiego i imiennikiem zawodu i wozu młodego Stolarskiego.

Piekarz nie nazywa się Malarski, lecz jest właścicielem samochodu z wytwórni Lekarskiego.

Jak się nazywa pisarz?

HUMOR ZAGRANICZNY

GDY ZAKLINACZ WĘŻÓW JEST ZMĘCZONY...



(Ric-et-Rac)

CZWARTY DO BRIDŻA NA ODLUDNEJ WYSPIE.



Rozbitek do przybijającego do brzegu:
— Czy przywiózł pan talję kart?
(Ric-et-Rac)

NA SCENIE.

Teatr Narodowy w Warszawie gra obecnie komedję w sześciu odsłonach Franciszka Molnara p. t. **„Wielka miłość"**. Krytyka zwraca uwagę na pewne niedociągnięcia psychologiczne w narysowaniu głównej kobiecej postaci Marji i wspomnianej w tytule wielkiej miłości. — Jeden z krytyków, Grzymała Siedlecki, pisze:

„Dopiero w powieści dałoby się wszystko jasno przeprowadzić i szeroko uzasadnić, a Molnar jest talentem nawskróś scenicznym i tylko skrótami dramatycznemi chętnie operuje. Wolał więc i tu poświęcić trochę pracy psychologicznej, byle mieć teatr i sceniczne kategorje.

Nigdy nie był i nie chciał być poetą na scenie, wystarczały mu zawsze celowo sceniczne dialogi i teatralna sieć konfliktów. — W dawniejszych swoich sztukach przepadał za ostrością i jaskrawością efektów — w „Wielkiej miłości" widzimy go już u-temperowanego; ta nowa jego komedja nie jest żadną wyżyną artystyczną, ale jest rzetelnem dziełem rzemiosła dramatopisarskiego, które sposobami teatru stara się rozwiązać doskonałą rolę tej właśnie Marji — i udaje się dać widzowi wieczór wcale niezdawkowy w dobrem towarzystwie autora średniej ...".



Janina Piaskowska gra obecnie jedną z głównych ról w Teatrze Polskim w Warszawie w komedji Bus - Feketego „Dziewczęta i oni".

W komedji Molnara są dobre role, a Warszawa ma obecnie sposobność porównać grę polskich aktorów z grą członków trupy wiedeńskiej, którzy grali tę sztukę przed kilku miesiącami w czasie gościnnych występów w Warszawie. Główne role grają Eichlerówna i Juljusz Osterwa. — Eichlerówna należy do wysokiej klasy naszych artystek i potrafi prawdę i głębię uczuć oddać z wirtuozostwem techniki. Osterwa jest jak zawsze czarującym lekkoduchem, a sztukę równocześnie wyreżyserował doskonale. Znakomitą jest Ćwiklińska w roli pani ministrowej. Dobrą ponadto obsadę stanowią Munclingerowa, Kajzerówna, Kawińska, Milecki i Hajduga.

Teatr Polski w Warszawie wystawił najnowszą sztukę Bus-Feketego „Z miłości niedostatecznie", którą w Warszawie ochrzczono tytułem „Dziewczęta i oni". Jest to jedna z najsłabszych sztuk autora popularnej i miłej „Trafiki pani generałowej". — Główne role trzech dziewcząt grają szczerze Żabczyńska, Piaskowska i Żeliska. W rolach męskich dobre epizody dają Kondrat, J. Węgrzyn i Woskowski. Borowski wyreżyserował komedję zbyt poważnie.

Tę samą komedję gra obecnie **Teatr Polski w Poznaniu**, gdzie główne role kobiece odtwarzają Łabuńska, Zasadzianka i Porębska, a role męskie Kierczyński, Hańcza, Tatarkiewicz i Wroński. Efektowne dekoracje dał temu przedstawieniu Zygmunt Szpinger. Pomysłowo wyreżyserował komedję Szupelak-Gliński.

Poznański **Teatr Nowy**, korzystając z gościnnych występów Władysława Waltera wznowił zabawną komedję Hennequina i Webera **„Codziennie o piątej"**. — Główną rolę kobiecą gra Teofila Korankiewiczówna, która doskonało podchwyciła ton farsowy lekkiej komedji, a jej partnerami są Walter, Noskowski i Kochanowicz. Publiczność żywo oklaskuje zabawne sytuacje i dobre epizody gry wspomnianych artystów.

We **Lwowie** ukazała się na afiszu komedja w trzech aktach W. Ellisa p. t. **„Omal nie noc poślubna"**. Należy ona również do letniego repertuaru, jako typowo komedjofarsa, a pewne wady sztuki zdołał zręcznie wyrównać dobrą reżyserją Tatarkiewicz. — Dobrą i dowcipną obsadę komedji stanowią Dziewońska, Niczewska, Pośpiełowski, Krzemieński, Wieckowski i Kański. **(b).**

To warto poznać...

NOWE KSIĄŻKI.

Dużą popularnością i poczytnością cieszą się obecnie powieści biograficzne. Jedną z ostatnich w tej serji, jakie ukazały się na rynku księgarskim w Polsce, jest powieść biograficzna o **Ryszardzie Wagnerze**, napisana przez **Alinę Świderską**, a wydana p. t. **„Prometeusz i perliczka"** nakładem księgarni F. Hoesicka. Narazie jest to tylko pierwszy tom biografji, opisujący, na podstawie zbadanych przez autorkę źródeł, dzieje małżeństwa Ryszarda Wagnera z Minną Planer, pierwszą amantką objazdowej trupy operowej, w której młody muzyk pełnił wówczas obowiązki kapelmistrza. Ta właśnie amantka jest tytułową „Perliczką".

W powieści tej dużo jest epizodów, związanych ściśle z Polską.

Nakładem R. Wegnera w Poznaniu ukazała się książka F. A. **Ossendowskiego „Puszcze polskie"**, omawiające piękno mało znanych naszych puszcz, oraz zabytków architektonicznych, sztuki ludowej i życia, zamkniętego granicami puszczy Augustowskiej, Knyszyńskiej, Białowieskiej i Myszenieckiej.



Niedziela, 26 lipca 1936.

9.00: Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie.
10.30: Muzyka z płyt.
11.45: „Z teki starego radcy" — wygłosi Zbigniew Filus.
17.30: Muzyka salonowa w wyk. kwartetu salonowego rozgłośni krakowskiej.
.00: Słuchowisko regjonalne o12
18.00: z Warszawy: słuchowisko regjonalne według „Chłopów" Wład. Reymonta wykonane przez mieszkańców wsi Lipce.
20.20: z Warszawy: „Co czytać?" przegląd ostatniego dziesięciolecia naszej literatury pięknej, omówi Jan Lorentowicz.
20.55: ze Lwowa: „Na wesołej lwowskiej fali".
21.30: z Warszawy: „Dożynki" suita ludowa Marjana Rudnickiego. Wykonawcy: Mała ork. P. R.
22.20: z Warszawy: muzyka taneczna w wyk. Małej orkiestry P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.

Poniedziałek, 27 lipca 1936.

7.40: Muzyka poranna z płyt.
12.13: z Warszawy: koncert w wyk. zespołu salonowego P. Rynasa.
15.45: z Wilna: „W co się będziemy bawili" transmisja z ogródka dziecięcego.
17.50: „Z wędką na bystrej wodzie" — pogadankę wygł. mjr. Bronisław Romaniszyn.
19.30: z Warszawy: arje i pieśni w wyk. Sławy Orłowskiej, przy fort. Władysław Walentynowicz.
19.55: z Warszawy: „Legenda o sonacie księżycowej Ludwika Bethovena" reportaż Wiktora Junoszy Dąbrowskiego.
20.00: z Warszawy: „Łodzią żaglową przez ziemię pomorską" — feljeton wygł. Mieczysław Zydler.
21.00: z Gdyni przez Toruń: Koncert w wyk. orkiestry Marynarki
22.15: Wielki koncert muzyki polskiej z dziedzińca wawelskiego. — Wykonawcy: wielka ork. symf. P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga.

Wtorek, 28 lipca 1936.

12.23: Muzyka z płyt.
16.45: z Warszawy: „Stefan Czarniecki" odczyt wygł. Artur Śliwiński.
17.50: z Wilna: „Na liściu wikliny" pogadankę wygł. dr. Axel Sterjana.
19.30: z Warszawy: koncert w wyk. Małej ork. P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego, Niny Grudzińskiej i Witolda Łuczyńskiego (śpiew).
20.30: z Warszawy: „Poezja sportu" szkic literacki Stefana Flukowskiego.
21.20: „W pogodną noc" — koncert ork. kameralnej pod dyr. dr. Adama Hermana.
22.15: z Ciechocinka przez Toruń: muzyka taneczna.

Środa, 29 lipca 1936.

12.03: „Prosimy do mikrofonu".
15.45: ze Lwowa: Teatr Wyobraźni: „Panna z mokrą głową" słuchowisko Kornela Makuszyńskiego dla dzieci.
16.15: z Warszawy: „Wielcy kompozytorzy odtwórcami własnych dzieł" (płyty).
17.00: z Poznania: Koncert w wykonaniu ork. mandolinistów „Sempre Vivo" pod dyr. Zenona Szymborskiego.
17.30: z Warszawy: duety w wykonaniu Ireny Gadejskiej i Berty Bragińskiej, przy fort. Ignacy Rosenbaum.
18.00: „Tragiczne pokolenie" — w opr. dr. Adama Bara.
18.15: Muzyka z płyt.
19.00: z Wilna: koncert w wyk. ork. kameralnej.
21.00: V-ta audycja z cyklu „Kandydaci do międzynarodowego konkursu Chopinowskiego".
22.15: z Wilna: „Pamiętnik Izadory Dunkan" audycja muzyczna Sergjusza Kontera i Antoniego Koncewicza.

Czwartek, 30 lipca 1936.

12.03: Muzyka z płyt.
14.30: Południowy koncert.
16.45: z Warszawy: „O pracy kobiet dla obrony kraju" — odczyt
17.00: z Ciechocinka przez Toruń: koncert w wyk. ork. Filharmonji warszawskiej pod dyr. Józefa Ozimińskiego.
19.00: z Poznania: Teatr Wyobraźni u obcych (Anglja). Premjera słuchowiska oryg.: „Doktór Abernethy przyjmuje", napisali: Alicja Ramsey i Rudolf de Cordova. Przekład Anieli Zagórskiej.
20.05: z Warszawy: „Podróż w wyobraźni do Brazylji" obrazek muzyczno - poetycki. Wiersze Michała Świrskiego ze zbioru „Drogi nieznane".
20.55: z Warszawy: Ignacy Paderewski: Symfonja h-moll op. 24, w wykonaniu zwiększonej ork. P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga.
22.15: Muzyka taneczna z płyt.

Piątek, 31 lipca 1936 r.

12.03: Audycja dla dzieci wiejskich w opr. Toli Rettingerowej.
14.50: Koncert południowy z płyt.
15.45: ze Lwowa: rozmowa z chorymi ks kapelana Michała Rękasa.
16.00: z Warszawy: koncert muzyki lekkiej w wyk. Małej orkiestry P. R.
17.00: z Warszawy: najnowsze nagrania słynnych zespołów salonowych.
18.50: z Warszawy: Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. Radja.
19.05: „Falstaff" opera w 3-ch aktach Giuseppe Verdi'ego pod dyr. Artura Toscanini'ego — transmisja z festivalu w Salzbourgu.

Sobota, 1 sierpnia 1936 r.

12.05: Muzyka z płyt.
15.45: ze Lwowa: „Bim i Bum w opałach" audycja Wiktora Budzyńskiego dla dzieci młodszych.
16.00: z Łodzi: recital fortepianowy Marji Chasim.
16.45: „Złoto Bałtyku" odczyt wygł. dr Kaz. Maślankiewicz.
17.00: Transmisja z Berlina: „Otwarcie igrzysk olimpijskich".
19.00: z Warszawy: „Na swojską nutę" koncert w wyk. ork. Kapeli Ludowej Feliksa Dzierżanowskiego oraz Marji Mokrzyckiej.
21.00: z Warszawy: recit. skrzypcowy Szymona Belina, akomp. Ignacy Rosenbaum.
21.30: z Warszawy: „Świstawka" groteska radjowa E. Schmidta.
22.35: z Warszawy: muzyka lekka w wyk. Małej ork. P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.